AS



Nr. 26

7 CZERWCA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

PACHNĄ GOŹDZIKI...

FOT. DR. P. WOLFF (SCHOSTAL)

GDY DZIATWA JEDZIE NAD MORZE...





Połów małego „rybaka".
Fot. Fr. Fuerst — Paryż

Od lewej: Ubranko dla 3-letniego chłopczyka: do białej koszulki krótkie lub długie spodenki na szelkach z kolorowego płótna. Komplet dla dziewczynki 14-letniej z lekkiego płótna, na który w chłodniejsze dni wkłada się jeszcze bluzę deseniową z rękawami. — Płaszczyk kąpielowy dla 11-letniego chłopczyka z materjału frotté, uszyty krojem raglanowym. - Komplecik plażowy dla 7-letniej dziewczynki lub chłopczyka, spodnie długie lub shorty z granatowego płótna, kamizelka z trykotu jak na kostjum kąpielowy. - Sukienka plażowa dla 10-letniej dziewczynki z toile de soie w niebieską kratkę. Takiż pasek, guziki i czapeczka.

Coraz więcej dzieci u nas bywa w tem szczęśliwem położeniu, że radosny okres wakacyj spędzać może nad morzem. Cóż to za świetna zabawa czeka tych małych szczęśliwców na piasku nadmorskim i w kąpielach, mających tyle atrakcyj, co woda morska z muszekami, meduzami i innemi dziwami, nie spotykanemi na stałym lądzie...

Naturalnie, że ekwipunek nadmorski to pewien wydatek, z którym się zgóry liczyć trzeba. Wyjazd nad morze to prawdziwa wyprawa po zdrowie, niechaj więc nie szczędzą rodzice zabiegów, aby zapewnić swym pociechom wszystko, co tylko jest niezbędne w okresie nadmorskich wywczasów.

Sukienki i ubranka plażowe są oczywiście, poza kostjumami kąpielowemi, konieczne. Podajemy tu liczne wzory dla dziatwy różnego wieku i płci, łatwe do wykonania nawet t. zw. domowym przemysłem. Najlepsze dla nich materjały, to płócienka, ewentualnie płócienka jedwabne (toile de soie) i grubsze frotté na płaszczyki kąpielowe. W pewnych wypadkach także i trykot kąpielowy da się zastosować do kostjumu plażowego. Praktyczna pani domu, mająca zawsze w zapasie swej garderoby znoszone części odzieży, wynajdzie w nich wiele dla ekwipunku plażowego swej



Towarzysze zabawy...
Fot. Fr. Fuerst — Paryż



Od lewej: Sukienka dla 4-letniej dziewczynki z materjału w deseń z figurynek, oblamowanie ciemniejszym jednobarwnym materjałem. Ubranko dla 2-letniego chłopczyka. Gumki przy krótkich spodenkach i ramiączka skrzyżowane na plecach. Płaszcz kąpielowy dla 10-letniej dziewczynki: jasny frotté deseniowy z białym paskiem, pliskami i kołnierzem.



Na lewo: Lekka sukienka z wzorzystej materji w delikatny wzór dla 10-letniej dziewczynki. Zmarszczki z przodu tworzą pasek i nadają fałdów spódniczce i stanikowi. Biały kołnierzyk i manszeciki. — Ubranko dla 10-letniego chłopczyka: jednobarwne płótno lub perkal najlepiej się nadają na ten ubiór.

dziatwy, co uczyni wyjazd nad morze nieco ekonomiczniejszym.

Zasadą ubiorów plażowych jest udostępnienie jak największej powierzchni skóry zbawiennemu działaniu powietrza i słońca. A więc ubiory dziecinne są krótkie, bez rękawów, przytrzymywane zazwyczaj tylko ramiączkami. Na czas chłodniejszy przewiduje się jednakowoż zawsze dłuższe spodenki dla chłopczyków i żakieciki czy bluzeczki dla dziewczynek.

Nie można też zapomnieć o jednej sukience i ubranku do wyjścia do kościoła, czy na przechadzkę w dzień nie nadający się do kąpieli.

Sandałki znajdą się przez cały czas pobytu nad morzem w częstem użyciu i trzeba się liczyć z tem, że słabsze gatunki nie wytrzymają dłuższego harcowania żądnej bezustannego ruchu dziatwy. Lepiej odrazu pomyśleć o najsolidniejszym towarze. Zwykłe pantofelki i niewielka ilość skarpetek i pończoszek uzupełnią ekwipunek, do którego trzeba jeszcze wliczyć trochę bielizny, jakkolwiek w razie pogody i stałego przebywania nad wodą wystarczą kostjumy kąpielowe i plażowe, pod które niepotrzebna jest bielizna.

Mewa.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 26 **Niedziela 27 czerwca 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 26-GO:



Fot. Polonsky — Hollywood.

Do najbardziej znanych artystek-malarek Stanów Zjednoczonych, portretujących zwłaszcza różnego rodzaju sławy amerykańskie, należy młoda i przystojna Azalja Newman, której uroda przypomina słynną gwiazdę ekranu Joan Crawford. Artystka wywodzi się ze znanej amerykańskiej rodziny pochodzenia angielskiego, która według tradycji posiada między swymi przodkami samego Karola Wielkiego! Ciekawem jest, że ojciec Azalji Newman odegrał przy wyborze Woodrowa Wilsona na prezydenta Stanów Zjednoczonych decydującą rolę. Na zdjęciu naszem artystka przed swem dziełem — portretem, przedstawiającym Joan Crawford.

DR. JERZY DOBRZYCKI

„RZECZ"

o chwalebnych zasługach mieszczan krakowskich



Dziedziniec Collegium Maius w pierwszej ćwierci XIX wieku. Nieistniejące dziś schody prowadziły na pierwsze piętro do sali Jagiellońskiej. (Według obrazu Józefa Richtera z Muzeum Narodowego w Krakowie).

Rozporządzenia krakowskich władz miejskich, podawane do wiadomości ogółu obywateli, czyli t. zw. „publikaty", rozpoczynały się w drugiej połowie 17. i w ciągu 18. wieku pospolicie od tradycyjnej formuły: „Mości Panowie, raczcie Wasze wiedzieć..."

Z tym samym apelem zwraca się dziś historja do ludzi współczesnych ukazując im wspaniałe pomniki przeszłości, zachowane w Krakowie pomimo rozlicznych burz i kataklizmów dziejowych, a będące dokumentami życia i zasług długich pokoleń synów tego miasta, pędzących tu kiedyś pracowite życie. Stwierdzić należy, iż naogół współczesny obywatel, obcując codziennie z temi pomnikami, nie zdaje sobie sprawy z roli i znaczenia dla Polski tych, którzy je przed wiekami wznosili. A rola to była niezwykle doniosła, zwłaszcza na polu kulturalnego i duchowego życia narodu.

Komu wola potemu — niechaj pospieszy na starożytny rynek w chwili sposobnej, najlepiej w godzinie, w której rozgwarześrodkowanego tu od siedmiu wieków życia miasta przycichnie, kiedy miękki aksamit mroku otuli kontury gmachów, świątyń i domów. Wówczas to, na ten prastary rynek, zgodnie z apelem krakowskiego poety Pietrzyckiego.

„...pójdźmy jasną nocą —
Wieki nam zmarłe towarzyszyć będą.
Niechaj się szyby w oknach rozmigocą!
Szczerbate mury niech mówią legendą!..."

I oto w głuszy nocnej, nadającej się do rozpamiętywania przeszłości, która minęła, staniemy cisi w obliczu tych „murów szczerbatych", wyłącznych nieomal świadków znaczenia i potęgi dawnego krakowskiego mieszczaństwa. — Nadstawmy jeno uszu, a rozsnują rychło przed nami opowieść, niby rapsod, złożony ze strof dopisywanych wciąż przez lata i wieki. Oto ogromny rynek dumnej „civitatis Cracoviae", wykreślony przez mierników Bolesława Wstydliwego w r. 1257 w takich iście pańskich rozmiarach, że aż dotąd jest on największym z rynków średniowiecznych miast w Europie. Snać już wówczas liczono się z wielkim w przyszłości rozwojem naczelnego miasta Polski. 47 pałaców i kamienic okoliło z czterech stron ten rynek; gawędzą z powagą o dawnych panach, możnych patrycjuszach i bogatych mieszczanach, dorabiających się mrówczą pracą znaczenia i majątku. A oto w jednym rogu placu stoi niski, niby brzemieniem lat zgarbiony staruszek, niewielki kościółek św. Wojciecha, zbudowany kiedyś w zamierzchłem średniowieczu dłońmi Krakowian na miejscu, gdzie u schyłku 10 w. płomienne słowa wiary rozsiewał między ludem św. Wojciech.



Ogólny widok Krakowa z Wawelem po prawej stronie. (Obraz Zygmunta Wierciaka, zrobiony według informacji autora).



Na lewo: Fragment Barbakanu z halabardnikami w strojach z XVI wieku. Fot „AS"

Uczyńmy z kolei kilkadziesiąt kroków, a oto w drugim rynkowym narożniku staniemy u stóp wysokiej, potężnej wieży. Samotna stoi, niby wdowa po zburzonym przed 116 laty ratuszu z 14 w., siedzibie sławetnego Magistratu i panów rajców. —

Co krok cisną się tłumem wspomnienia. Opodal wieży miejsce, na którem królowie „na majestacie" hołd przyjmowali od miasta po koronacji i homagjalną powinność od książąt lennych; tu właśnie w r. 1525 dumni książęta pruscy zaprzysięgali wierność państwu, uginając kolan przed tronem króla Zygmunta. Tam znów poza wieżą, w bruku rynkowym tablica wskazuje miejsce, gdzie wśród niezmiernego zapału mieszczan i ludu Kościuszko zaprzysiągł w r. 1794 powstanie narodowe i walkę z najeźdźcą o wolność Ojczyzny. Ale oto podnieśmy oczy ku górze. Przed nami rozciąga się szeroko w samem sercu rynku nierealna zda się w swem fantastycznem połączeniu ostrołukowych arkad z wyniosłą renesansową attykę budowla; z wierzchołków jej spoglądają niewzruszone od wieków kamienne twarze masek, zastygłe w napoły żartobliwym, napoły filozoficznym



Na lewo: Wnętrze Barbakanu, który był w przeszłości jedną z najważniejszych części składowych fortyfikacyj Krakowa.



Na lewo: Rynek krakowski (według starego sztychu z XVIII wieku).



Poniżej: Pomnik Tadeusza Kościuszki, znajdujący się na Wawelu.
Fot. Feliks Nowicki — Kraków.

grymasie. Ten gmach — to Sukiennice, najdostojniejszy dokument dawnego handlu, prowadzonego przez mieszczan krakowskich na ogromnej przestrzeni między krainami Azji na wschodzie, a bogatemi miastami Flandrji na zachodzie.

Niespodzianie wszelako przerwie zadumę naszą płynąca gdzieś z pod nieba, pełna melancholijnej zadumy melodja. To hejnał, grany ze szczytu wyższej z siostrzanych wież Marjackiej świątyni nieprzerwanie, już od 700 lat... Kiedyś ta wieża, ukoronowana strzelistym wieńcem iglic, była naczelną strażnicą miasta, czuwającą nad spokojem obywateli, ostrzegająca przed wrogiem i pożarem. Długim pokoleniom ludzkim odmierzał ten hejnał każdą godzinę żywota, od kolebki do zgonu. A sam kościół? Jego wnętrze wyda się upajającą wizją barw, olśniewającą skarbnicą pamiątek po dawnem mieszczaństwie i patrycjacie. Z bronzowych i marmurowych nagrobków spoglądają pełne powagi postacie Bonerów, Betmanów, Salomonów, w kątach prezbiterjum piętrzą się wysoko marmurowe monumenty renesansowe Montelupich i Cellarich. Oto w całości swej zda się być ta najpiękniejsza świątynia Polski najwymowniejszym pomnikiem pobożności dawnych mieszczan, którzy ją w XIV w. wznosili, a następnie przyczyniali bogactw i ozdoby, aby wkońcu w cieniu jej świętych murów bezpiecznie oczekiwać dnia Sądu. Najdroższym w jej wnętrzu klejnotem — to przesławny ołtarz Wita Stwosza, wyrzeźbiony przezeń w latach 1477—89, owoc najgórniejszych natchnień, i najwspanialszy zarazem w Europie pomnik mieszczańskiego ukochania Piękna.

A gdy zkolei podążymy zadumani w wąskie ulice, przecinające się nawzajem pod kątem prostym, miniemy wiele jeszcze starożytnych kościołów, kótrych w tem mieście dotrwało około 50. Wypełniała je ongiś po brzegi rzesza pobożna, ożywiały melodyjne pienia mieszczańskich bractw. Miniemy dalej długie szeregi domów, świadków wielkiej przeszłości, a raz po razu pociągną oko poważne rzeźbione portale bram, to znów godła kamienne, to figury świętych, to wreszcie łańcuchy u węgła, służące ongiś czasu wojennego do zamykania ulic, gwoli większemu bezpieczeństwu przed wrogiem. Miniemy pełne majestatycznej zadumy gotyckie mury i krużganki Collegium Maius, siedziby sławnej szeroko w świecie Wszechnicy, gdzie tylu synów mieszczańskich z genjalnym Kopernikiem na czele zdobywało „znamienitą perłę wiedzy“, jak się wyraża dokument fundacyjny Kazimierza W., gdzie tylu zasiadało sławnych naukami profesorów i uczonych, wyszłych z mieszczańskiej krwi. A potem



Wieża ratuszowa na Rynku Krakowskim po zburzeniu Ratusza w r. 1820. (Akwarela Willibalda Richtera ze zbiorów Franciszka hr. Potockiego — Kraków).

zwiedźmy jeszcze reszty dawnych warowni, bramę Florjańską i Barbakan, pozostałe samotnie po średniowiecznych fortyfikacjach, liczących niegdyś w swym obrębie 47 warownych baszt, bronionych w czasach wrogich najazdów przez cechy rzemieślnicze, gotowe zawsze utoczyć serdecznej krwi dla dobra i pokoju ojczystego miasta...

Zaiste, niezwykła to będzie wędrówka. Każdy zaułek, każdy kąt i każda cegła nieledwie przemówi do nas potęgą wielkich wspomnień.

Co jednak w toku rozważania przeszłości mieszczaństwa krakowskiego szczególniej uderzyć musi, to fakt, iż było ono misternym amalgamatem przeróżnych elementów obcych, stapiających się w organiczną całość przez szereg stuleci. Przybysze narodowości obcej, głównie Niemcy, którzy masowo napłynęli do zniszczonych najazdami Tatarów w 13 w miast polskich, górowali długo ogromną przewagą liczebną i znaczeniem nad rodzimą ludnością Polski. Nad szary tłum mieszczański wyrastały potężne rody, zdobywając znaczenie głównie zapomocą rozległego handlu tranzytowego. W 14 w. najwyższe w mieście znaczenie osiągnęły rody Wierzynków i Morsztynów, później wybijają się na schyłku średniowiecza i w wieku 16 Betmanowie, Bonerzy, Decjusze, Fogelwederzy, Gutteterowie, Cyrusowie i inni. Nie brak i Węgrów z możnymi bogaczami i właścicielami kopalń Turzonami, a nawet przybyszów z Francji, Belgji, Flandrji i dalekiej Szkocji, uchodzących tu z swych ziem przed uciskiem religijnym. Największe jednak obok żywiołu niemieckiego znaczenie zdobyli Włosi, niezmiernie liczni od początków 16 w., pochodzącej głównie z Florencji, Lukki, Wenecji i Medjolanu. Są to przeważnie rychło bogacący się kupcy i bankierzy, nie brak też wśród nich i utalentowanych artystów, architektów, rzeźbiarzy i malarzy. Piękny język Dantego rozbrzmiewał w 16 w. pospolicie na ulicach Krakowa. Wszyscy ci przybysze w ciągu dwóch lub trzech pokoleń polszczyli się zupełnie. Możniejsi wielokrotnie zyskiwali indygenaty i wchodzili w rzeszę szlachecką.

Pracując na polu handlu, bądź też ujętego w ryzy organizacji cechowej przemysłu, mieszczaństwo krakowskie położyło zarazem niespożyte zasługi dla kultury, sztuki i nauki polskiej. Dość powiedzieć, że głód wiedzy farb i obrazów. Że się to nieraz kończyło

Dokończenie na str. 7-mej.

Poniżej: Ogólny widok Krakowa z pierwszej połowy XIX wieku, widziany od zachodu — na prawo klasztor PP. Norbertanek. (Akwarela Willibalda Richtera ze zbiorów Franciszka hr. Potockiego — Kraków).



»robaczki świętojańskie«





Od lewej: Gąsienica świetlika (w powiększeniu) również posiada zdolność świecenia. — Samica świetlika świętojańskiego (Lampyris noctiluca) — i samiec tegoż gatunku czyli robaczek świętojański.

W pogodny, letni wieczór, gdy czerwona tarcza słoneczna schowa się już za horyzontem i cichy mrok zapadnie, gdy na ciemnym niebios błękicie zapali się tu i ówdzie gwiazda, a księżyc zaleje ziemię swą srebrzystą poświatą, zewsząd to na krzakach, to znowu w powietrzu zapalają się jakieś maleńkie ogniki. Niby drogie klejnoty, które mienią się zapalając i gasząc swe światła, świecą maleńkie punkciki. Niby niezliczone ilości elektrycznych latareczek ukazują się to tu, to tam, ustawicznie zmieniając miejsce swego położenia.

Jakież jednak ogarnie rozczarowanie tego, komu uda się schwycić ową maleńką latareczkę, zapaloną na krzewie. Zamiast czarodziejskiego cacka pozostaje w rękach szare i miękkie ciało jakiegoś niepozornego żyjątka. Jest to owad, tak zwany „robaczek świętojański“, świetlik świętojański (Lampyris noctiluca). Wielkie jego ilości pojawiają się około św. Jana w czerwcu i do sierpnia można je obserwować w pogodne, letnie noce. Samiczki, pozbawione skrzydeł obsiadają licznie krzaki i łażą wśród nich. Są szare i niepozorne, mają wygląd larwy lub robaka I wierzyć się nie chce, że to nikłe stworzonko może świecić tak ładnie, nasuwając wiele poetycznych myśli i porównań. Samiec ma skrzydełka, może więc latać, światło jednak jakie wydaje, jest znacznie słabsze. Zdolność świecenia posiadają nie tylko owady dorosłe, ale także ich gąsienice oraz jajeczka.

Zupełnie podobne światło wydaje inny świetlik (Lampyris splendidula) nieco jednak mniejszy.

Narządy świetlne tych owadów znajdują się na spodniej stronie odwłoka. Mają one wygląd blaszek, które składają się z licznych komórek. Do tych dochodzą włókienka nerwowe oraz tchawki, będące rureczkami oddechowemi, roznoszącemi powietrze po całem ciele owada. Samoświecenie „robaczków świętojańskich“ czyli świetlików spowodowane jest procesami chemicznymi, które polegają na utlenianiu substancji świecącej, zawartej w komórkach narządów świetlnych.

Światło wydawane przez naszego robaczka świętojańskiego jest blade i mało znaczne w porównaniu do światła, jakie wydaje egzotyczny „Kukujo“ (Pyrophorus noctiluca). Wielki ten kilkucentymetrowy chrząszcz amerykański, zwany także nocnym świecielem, wydaje światło tak silne, że niekiedy służy krajowcom do oświetlenia izb. Zamknięte po kilka sztuk w małych, drucianych klateczkach stanowią żywe latarnie, przy których można nawet czytać. W lasach meksykańskich i brazylijskich często tubylcy niebezpieczną drogę oświetlają tymi świecącymi chrząszczami, które pozostawiają na krzakach, gdy są im już niepotrzebne. Kobietom Ameryki południowej „Kukujo“ zastępują niekiedy nawet klejnoty; w małych, tiulowych woreczkach zawieszają je przy sukniach lub też umieszczają we włosach. Dbają też bardzo o swą „żywą biżuterję“ i przechowują cenne chrząszcze w małych klateczkach, karmiąc je trzciną cukrową. Naturalną zaś rosę zastępują świecielom, przebywającym w niewoli, częstemi kąpielami.

Świecą również jaja i gąsienice tego egzotycznego sprężyka, który przewrócony na grzbiet, niby doskonały gimnastyk przez podrzucenia swego ciała, uzyskuje normalną pozycję. Gąsienice żyją w trzcinie cukrowej lub na rozkładających się drzewach. W miarę swego wzrostu wydają światło coraz silniejsze a świecą zwłaszcza w czasie ruchu lub walki czy obrony. Im żywsze ruchy wykonuje owad, tem siła światła jest większa, a zaczyna słabnąć przy zmęczeniu chrząszcza.

Ponieważ na światło wydawane przez samca, odpowiada niby sygnałem świetlnym samiczka, przypuszcza się, że w ten sposób owady te porozumiewają się ze sobą. Poniekąd jest ono również drogowskazem dla lecącego owada, narządy bowiem świetlne, niby reflektory oświetlają ciemną przestrzeń.

Widok „świętojańskich robaczków“ rozsianych po ziemi i krzakach oraz unoszących się w powietrzu, pozostawia niezapomniane wrażenie. Nic dziwnego, że Pliniusz nazwał te owady „latającemi gwiazdami“ a inni także „latającymi diamentami“.

Japończycy, odznaczający się wielkiem umiłowaniem przyrody, obchodzą w miesiącu czerwcu „święto świetlików“. Każdy z uczestników w małej klateczce niesie owada wydającego zielonawe światło a dzieci i dorośli starają się wachlarzami chwytać świetliki, unoszące się rojami w powietrzu.

Dr Z. M.



Amerykański chrząszcz z rodziny sprężyków (Pyrophorus noctilucus) posiada również narządy świetlne.

Poniżej: Owad świecący (Photinus consangineus), po lewej samiec, po prawej samiczka.



Poniżej: Narządy świetlne rozmieszczone są po obu stronach odwłoka (Lampyris splendidula).



Dokończenie ze str. 5-tej.

gnał nieraz synów mieszczańskich do Padwy i Bolonji, skąd wracali z dyplomami doktorów. W oficynach krakowskich po raz pierwszy w Polsce drukowane słowo ujrzało światło dzienne i przez długie wieki rozchodziło się stąd na cały kraj. Z masy mieszczańskiej wyszło wielu znamienitych mężów na polu nauki i piśmiennictwa. Wykształceniem i polorem obyczajowym górowali długo mieszczanie krakowscy nad panującą warstwą szlachecką.

Ale nadewszystko cechował mieszczaństwo krakowskie gorący patrjotyzm, ujawniany zwłaszcza w ogniowych próbach niedoli Ojczyzny. Miasto w 18 w. wskutek ogólnego rozstroju państwa i licznych klęsk bardzo zubożałe i wyludnione, w toku przewlekłych walk konfederatów barskich z Rosją (1768—1772) zajadle broniło się przed moskiewską przemocą. Znanym jest fakt, że gdy w r. 1768 w czasie oblężenia miasta przez Rosjan pod wodzą pułkownika Panina, pasamonikowi Oracewiczowi zabrakło kul, tenże guzem urwanym od żupana i wystrzelonym w imię Boże z fuzji ubił moskiewskiego wodza. — W roku tym ujrzał również światło dzienne Michał Stachowicz, późniejszy malarz wielkich wydarzeń epoki Kościuszki i ks. Józefa, typ wzorowy mieszczanina krakowskiego. Był 18-tym z kolei synem Stanisława, „bibljopoli J. K. Mości". Matka wydała go na świat w piwnicy domu „Pod Konikiem" w rynku, w czasie bombardowania miasta przez oblegających je pod wodzą Apraksyna Moskali. Czterech dorosłych braci nowonarodzonego zginęło w tym samym dniu na murach Krakowa, broniąc je przed najeźdźcą. Tenże artysta jak pracowity mieszczanin kochał najgłębiej swe miasto, tak, że nawet krokiem ruszyć się zeń nie chciał. Zachęcony wreszcie przez Woronicza do obejrzenia stolicy, powrócił bardzo rychło, podając jako powód, że naprózno szukał w Warszawie Sukiennic...

Ale wróćmy do rzeczy. W całej pełni zajaśniał patrjotyzm Krakowa w pamiętnym roku 1794, w dobie insurekcji Kościuszki. Mieszczanie i lud krakowski bez różnicy stanu, wzięli w niej serdeczny i powszechny udział, walcząc bądź w szeregach, bądź też składając hojne ofiary „na ołtarzu Ojczyzny". Stał się temsamem Kraków miejscem, w którem zapalony został nigdy nieugaszony znicz walki orężnej o niepodległość. Idea zrodzona pod Wawelem przekazywana była odtąd z pokolenia na pokolenie. Stale odtąd oddawał Kraków swe serce niepodzielnie tym, którzy podejmowali orężną walkę o wolność, i służył jej krwią swoich synów oraz pomocą moralną i materjalną. Jednym taktem biło jego serce z żołnierzami Dąbrowskiego i ks. Józefa, z powstańcami 1831 r., z uczestnikami podejmowanych tu ruchów wolnościowych z lat 1846 i 48, z bohaterami 1863 roku. Z łona rzemieślnikżw krakowskich wyszedł jeden z największych wodzów i organizatorów tego powstania, Marcin Lelewel-Borelowski, a w jednej tylko bitwie miechowskiej legło ofiarnie 200 synów rodzin krakowskich...

Wnet po tej ostatniej krwawej hekatombie zajaśniał Kraków niewidzianym dotąd blaskiem. Stał się w pełni dla całego zakutego w srogie kajdany narodu duchową stolicą, naczelnym ośrodkiem nauki i sztuki, pokrzepieniem zbolałych serc. Mieszczaństwo krakowskie wydaje wówczas z swego łona dwie postacie olbrzymie, Jana Matejkę, tchnącego w naród otuchę potęgą swych arcydzieł historycznych i później u schyłku wieku Stanisława Wyspiańskiego, płomiennego wieszcza i proroka Wyzwolenia. I staje się zarazem polskim Piemontem. W mroku konspiracyj patrjotycznych podjęty zostaje oręż wypadły z martwych dłoni powstańców 1863 roku. Zbliżają się godziny wielkich rozstrzygnięć, na widowni krakowskiej zarysowuje się mocarna, pełna niezłomnej woli postać przyszłego Wskrzesiciela Polski. Tu w cieniu Wawelu tworzy pierwsze szeregi ofiarnej młodzieży, jako kadrę, która na jego rozkaz ma pójść „starym Ojców szlakiem" ku świtom wolnego Jutra. Mnożą się szeregi strzeleckie, ćwiczą na błoniach krakowskich. — W młodych sercach zapala się niezłomna wola Czynu.

I nadeszła wielka godzina. W pamiętny poranek 6 sierpnia 1914 r., szlakiem wytyczonym przed 120-tu laty przez Kościuszkę, ruszyły pierwsze szeregi żołnierzy polskich na bój o wolną Polskę. Za szeregami poszły dalsze szeregi, za pułkami pułki. Wielką ich część stanowili synowie Krakowa, akademicy, malarze, rzemieślnicy, robotnicy, czasem dzieci nieledwie z ławy szkolnej. Powstał w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy, zalążek przyszłego rządu. I znów mieszczaństwo krakowskie w zgodzie z wielkiemi swemi tradycjami, oddawszy Sprawie najlepszych swoich synów, pospieszyło z hojną i wieloraką pomocą materjalną. Posypały się sowicie składki na Legjony, poszły za niemi dary w naturze. Zachowane akta archiwum N. K. N.-u dają wymowny obraz tej dobrowolnej daniny, składanej nieraz z prawdziwych „groszów wdowich" od najuboższych. „Koło Mieszczańskie" i cechy stworzyły ze swej strony „Komitet Pomocy Walczącym za Ojczyznę", który ze składek mieszczan i rzemieślników sprawił 500 kompletnych mundurów dla odchodzących na plac boju legjonistów, a ponadto jeszcze dołożył 17.000 koron do skarbu Legjonów.

W posępnych latach dziejowej zawieruchy serca i myśli Krakowian były w polu, przy Wodzu i jego żołnierzach. A gdy się spełniła wielka Ofiara, Kraków, jako pierwsze z polskich miast, zrzucił w dniu 31 października 1918 r. wiekowe jarzmo zaborcze. Walka o wolność podjęta tu kiedyś przez Kościuszkę, zakończona została triumfem ku nieśmiertelnej chwale Ojczyzny.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



W górnym rzędzie od lewej: Czechosłowacki znaczek gazetowy, belgijski znaczek, wyobrażający zmarłą tragicznie królowę Astrid z synkiem, oraz dwa koronacyjne znaczki angielskie (trzeci w górnym rzędzie i dolny).

Angielskie znaczki koronacyjne nie będą miały tak wielkiego powodzenia, jak jubileuszowe, wydane w 25-lecile panowania Jerzego V. Dla samej Wielkiej Brytanji emitowano tylko jeden egzemplarz za 1,5 pensa w kolorze czekoladowym. Przedstawia się on bardzo ładnie, ale nie jest znowu żadną rewelacją, wykonany naturalnie heljograwurą. Pozatem ukazały się już także 3 znaczki nowej serji, która zastąpi dawną z królem Edwardem VIII. Barwy dla wartości za ½, 1 i 2½ pensa utrzymano, rzecz oczywista, te same: zieloną, czerwoną i niebieska.

Omówiona przez nas 2 tygodnie temu serja znaczków na fundusz dobroczynny imienia ś. p. królowej Astrydy, nie jest taka ładna, jakby się tego można było spodziewać. Trochę niezgrabny format 2,9×3,9 cm, znacznie mniej staranne wykonanie aniżeli np. przy angielskich znaczkach, spowoduje, że i tak mało dostępna serja nie będzie się cieszyć wielką popularnością.

Zabawne znaczki gazetowe wydała Czechosłowacja. Tak pod względem formatu, rysunku, jak i wykonania nie są one dowodem dobrego gustu naszych sąsiadów, którzy jednak mogli się już poszczycić znacznie lepszemi edycjami. Za nadesłany egzemplarz do reprodukcji dziękujemy p. Sznapce z Cieszyna; cała serja obejmuje wartości za 2, 5, 7, 9, 10, 12, 20, 50 halerzy i 1 Kc. Zapewne nikt nie potrafi udzielić odpowiedzi na pytanie, dlaczego są one nieząbkowane, natomiast autor rysunku p. Benda napewno nie zasłużył na to, aby jego imię było uwiecznione. Format pola znaczka 19×19 mm, odstęp 4 mm.

Jeszcze niejeden egzemplarz moglibyśmy reprodukować w bieżącym numerze, ale wobec braku miejsca muszą aż do następnego tygodnia czekać swej kolejki wspaniałe znaczki austrjackie, (100-lecie żeglugi na Dunaju), francuskie (15 kongres kolei żelaznych) i amerykańskie za 5 c. ze serji na cześć armji U. S. A.

Blok z Hitlerem ukazał się również „cięty", a mówiąc językiem popularnym, prawie wszyscy polscy zbieracze są również „cięci" na tego rodzaju nowości, których wogóle w handlu dostać nie można, a za które, jak i w tym wypadku, trzeba będzie płacić później 10-krotną cenę nominalną.

W. H.

LICYTACJE: Dorotheum (Wien I. Dorotheergasse 17) 25 czerwca. W Balasse (Bruxelles, 61, Rue du Midi) 5-dniowa aukcja przy końcu miesiąca.



ARTYŚCI NA CENZUROWANEM



GENA GALEWSKA



Na prawo: „Mazurek" baletu Parnella w kostjumach, zaprojektowanych przez G. Galewską.

Poniżej: Projekt sukni do filmu „Dyplomatyczna żona".







Na lewo: Projekt kostjumu dla Olgi Sławskiej do tańca „Zaproszenie do walca" K. M. v. Webera.

Projekt kostjumu dla Olgi Sławskiej do „Mazurka" Szerwenki.

Czem jest dla aktorki czy tancerki dobrze skomponowana i odpowiednio dobrana suknia lub kostjum, ocenia to w pierwszym rzędzie publiczność, przed której krytycznem okiem nie ujdzie z perspektywy widowni najdrobniejszy szczegół, najmniejsza niedokładność. Dobra toaleta — to połowa powodzenia artystki, to częstokroć pełny i istotny triumf nietylko poszczególnej jednostki, ale całości widowiska. Wdzięk, uroda, talent giną i przepadają bez odpowiedniej oprawy i tła, bez twórczej ręki kostjumera i dekoratora, który dopiero swą wiedzą i sztuką nadaje tym artystycznym wartościom blasku i świetności.

Polska scena może się poszczycić licznym zastępem mistrzów dekoracji teatralnej, choćby wspomnieć tylko śp. Drabika, lwowskiego Spitziara, z obecnych Frycza, Jarockiego, Pronaszkę, Wiercińskiego i wielu innych.

W ostatnich latach poczęły kobiety bardzo dobitnie konkurować z mężczyznami na polu sztuki dekoracyjnej i to z nader dodatnim rezultatem. Jedną z najmłodszych zawodniczek jest utalentowana malarka Gena Galewska, której nazwisko, mimo młodego wieku, figurowało już niejednokrotnie na afiszach warszawskich teatrów rewjowych, jak „Wesoły Wieczór", „Morskie Oko", „Cyganerja" i „Banda".

Gena Galewska pochodzi z artystycznej rodziny i swe zdolności odziedziczyła po swym ojcu, znanym dekoratorze teatralnym Galewskim. Pod jego też okiem odbywała swe pierwsze studja malarskie.

— Zaczęłam je bardzo wcześnie — opowiada p. Gena, swą młodzieńczo roześmianą twarzą, podkreślając wymownie miły charakter wspomnień z lat dziecinnych. Ledwie zdołałam utrzymać ołówek w ręce, już rysowałam! Nie chcę przez to powiedzieć, jakobym była jakiemś cudownem dzieckiem! O, bynajmniej, jedynie to, że od najmłodszych lat miałam wielkie zamiłowanie do malarstwa. Właziłam ojcu na kolana, gdy malował; usunięta z kolan, wspinałam się mu na plecy i wpatrywałam z zachwytem w barwne plamy na płótnie, często nawet nie rozumiejąc, co przedstawiają i jaki mają cel. Największą uciechą dla mnie było, gdy mogłam zakraść się pod nieobecność ojca do jego pracowni i „buszować" wśród pędzli,

Dokończenie na str. 31

SOBOWTÓR LEONA CARRINGA

S. A. DUSE

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD TAD. BILIŃSKIEGO

NOWELA

Uprzykrzony terkot budzika wyrwał kasjera banku Enara Windego z rozkosznych snów. I żywiej, niż kiedykolwiek indziej, odczuł on tego poranku, że nie do takiego trybu życia był stworzony. Dzień po dniu siedzieć w banku za szklaną przegrodą i obsługiwać niesympatyczną publiczność i to za marnem wynagrodzeniem, które nie pozwalało na najskromniejszy wybryk... nie... to nie było absolutnie dla niego. A co najgorsze było w tem, że codzień przez jego ręce przepływały kusząco wielkie, ponętne sumy, przy użyciu których możnaby ułożyć sobie rozkoszne i wesołe życie, gdyby te sumy — rzecz jasna — należały do niego.

Kiedy rozpoczął toaletę poranną, poprzysiągł sobie, że musi już raz kres położyć temu niewolnictwu.

A gdy już był gotów i miał wyjść, dojrzał w swej głowie wielki plan, który miał za jednym zamachem uczynić go niezależnym i bogatym.

Z satysfakcją przyglądał się sobie w lustrze.

Mimo rudawych włosów, a bardziej jeszcze rudej brody, wyglądał całkiem dobrze i interesująco. Coś zuchwałego a zarazem męskiego było w tej twarzy, coś, co imponowało wielce, zwłaszcza kobietom...

Elegancki ubiór i całe swobodne zachowanie nie pozostawało we właściwym stosunku do jego dochodów i to właśnie było przyczyną jego długów i to wcale znacznych.

Skinął głową porozumiewawczo swemu odbiciu w lustrze:

— „Tak mój drogi Enarze — mruczał — jesteś genjalnym człowiekiem, który na lepszy los zasłużył sobie. I musisz mieć go za wszelką cenę. Plan mój jest najoryginalniejszym planem na świecie, jaki ktokolwiek i kiedykolwiek obmyślił. A co najważniejsze, że udać się musi To najmniejszej nie ulega wątpliwości. Nikt nie może cię złapać". W kilka dni później udał się kasjer do perukarza Albina Stohla, który znał się wybornie na sztuce charakteryzowania i maskowania.

— Czy mógłby mi pan zrobić perukę, któraby najdokładniej odpowiadała moim włosom — zapytał. — A i brodę taką jak moja?

Stohl przyglądał się bacznie głowie Windego ze wszystkich stron.

— Niewątpliwie... mógłbym — oświadczył wkońcu. — Mam nawet zupełnie podobne włosy. Ale to będzie dużo kosztować.

— Mniejsza o cenę — bąknął kasjer niedbale. — Chodzi tu mianowicie o pewien żart karnawałowy... o wielki zakład.

Stohl uśmiechnął się wyrozumiale:

— Aha, rozumiem... jakaś kobieta... Obejrzawszy jeszcze raz dokładnie kolor włosów, przyjął zamówienie za cenę 400 koron.

— Czy mogę prosić o nazwisko?

Bez wahania podał Winde swoje nazwisko i adres. Nic przecież przytem nie ryzykował. Był dopiero kwiecień, a jego „wielki plan" miał być zrealizowany dopiero w lecie, kiedy powietrze i... woda będą odpowiednio ciepłe.

II.

Było to w skwarne czerwcowe południe, kiedy Enar Winde wchodził z uśmiechem zadowolenia do swojego mieszkania.

W obu rękach niósł po jednej walizce, ale pozatem nie wyglądał zgoła na gotowego do podróży.

— No... pierwszy krok już zrobiony — mruczał do siebie. — Odźwierny widział mnie wchodzącego z walizkami. A więc dobrze! No... ale teraz trzeba się spieszyć.

Następnie udał się do swego pokoju, gdzie przystąpił natychmiast do gruntownej transformacji. I oto ostrzygł najpierw krótko brodę, wąsy i włosy, a potem wygolił dokładnie całą twarz i brodę.

Niebawem przyglądał się z zadowoleniem swemu gładko wygolonemu obliczu i krótko ostrzyżonej głowie.

— Pięknie! — Najlepiej pożegnać się ze wszystkiem, co kiedyś było. Enar Winde umarł. Za godzinę spodziewam się, iż znajdzie się dość świadków, którzy to potwierdzą.

Poczem uczynił coś, co w każdym razie nie wskazywało na to, aby myśli jego zaprzątnięte były bliską śmiercią.

A mianowicie począł czernić włosy co dopiero krótko ostrzyżone...

— Skoro brwi i rzęsy będą także czarne, nikt już absolutnie mnie nie pozna — motywował w dalszym ciągu.

— Teraz dopiero zacznie się dla mnie nowe życie! Życie w bogactwach i dostatku, zdala od trosk i mozołów...

Zapalił papierosa i podczas gdy schły włosy, rozważał w myśli raz jeszcze cały plan, który począł już w myśli realizować. Każdy szczegół obmyślił już zgóry. Nic nie zostawił na karb przypadku. Dlatego tak wszystko dotąd mu się wiodło. Wytrenowany zawodowy włamywacz nie potrafiłby tego od niego lepiej wykonać. Już oddawna porobił w wosku, w zupełnej tajemnicy, odciski kluczy dyrektora kasy. I niebawem miał już drugi garnitur kluczy, przy użyciu których mógł się w każdej chwili sam dostać do skarbca.

Ale nie spieszył się z tem. Wyczekiwał stosownej chwili, kiedy kasa będzie pełna, aby zamach się opłacił.

Aż wkońcu nadeszła ta ważna chwila. Przeszło pół miljona znajdowało się w sobotę popołudniu za masywnemi drzwiami żelaznemi. Ale dopiero dzisiaj rano dokonał kradzieży i to — w najprostszy w świecie sposób, nie starając się zupełnie ukrywać z tem, że on był złodziejem. Z walizką, do której miał zabrać pieniądze, udał się do banku i wezwał portjera, który właśnie sprzątał, aby poszedł z nim razem do kasy, co ów uczynił zaraz bez żadnych podejrzeń. Ogłuszenie i skrępowanie starca nie przedstawiało dla Windego żadnych trudności. Splądrował więc kasę i zaknebloawawszy jeszcze woźnemu usta, pozostawił go na ziemi i zamknął go. W ten sposób był bezpieczny do niedzieli rana...

Enar Winde zebrał starannie obcięte włosy i spalił je, usuwając wszelki ślad golenia, poczem wydobył sporządzoną przez Albina Stohla perukę, nałożył ją i dopełnił charakteryzacji, przylepiając wąsy i brodę.

I znów kasjer Enar Winde stanął w całej swej właściwej postaci, do której ludzie byli przyzwyczajeni.

— A teraz do dzieła!

Wyszedł i zapukał do odźwiernego.

— Wychodzę na całe przedpołudnie — ale będę z pewnością o czwartej zpowrotem. Jeśliby w międzyczasie ktoś się pytał o mnie, proszę mu powiedzieć, że poszedłem na zawody pływackie do łaźni. Zrobiwszy kilka kroków na ulicy, zatrzymał się nagle, jak gdyby coś sobie przypomniał, zawrócił i poszedł jeszcze raz do swego mieszkania. Ale osobliwa rzecz — teraz wszedł przez drzwi od podwórza. Kiedy szedł przez podwórze, był już gładko ogolony, podobnie też, kiedy tą samą drogą wracał z dwiema walizkami.

Odźwierny nie widział go, kiedy wchodził po raz drugi do bramy, ani też kiedy znowu wracał. Enar Winde udał się teraz w stronę dworca i złożył tam w garderobie obie walizki, a odebrał inną, którą poprzedniego dnia złożył. Potem kupił sobie bilet pierwszej klasy do Are i poszedł z nową walizką do łaźni, gdzie wślizgnął się szybko do pierwszej z brzegu kabiny.

Kiedy po chwili wyszedł w kostjumie kąpielowym, był znów Enarem Winde z rudą brodą i wąsami. Walizkę z całą jej zawartością, — a więc kompletnym garniturem całkiem innego koloru i kroju, aniżeli ten, w którym przyszedł, — zostawił w kabinie.

Spotkał kilku znajomych. Nikt nie zauważył u niego najmniejszej zmiany.

III.

Rozpoczęły się zawody pływackie. Enar był tęgim pływakiem i pozostawił innych daleko wtyle. Nagle krzyknął „ratunku!". Przyjaciele widzieli, jak wyciągnął ramiona i zanurzył się. Zapanowało ogromne zamieszanie. Enar Winde dostał apopleksji. Wołano o ratunek, nurkowano, aby schwytać tonącego.

Łódź ratunkowa nadpłynęła. Ale z kasjera Windego ani śladu... Nikt jednakowoż podczas tego nie zauważył gładko wygolonego czarnego pana, który o wiele dalej wynurzył się z wody i energicznie płynął ku platformie. Przybywszy tam, pospieszył do kabiny, w której Winde pozostawił walizkę z nowemi rzeczami. Szybko ubrał się i wepchał do walizki perukę „topielca" i fałszywą brodę, którą podczas nurkowania zerwał i ukrył w spodniach kąpielowych.

Niedługo potem opuszczał łaźnię jakiś gładko wygolony, ciemnowłosy mężczyzna i udał się w stronę dworca kolejowego.

Wielki plan udał się! Kasjer Winde „czerwony Enar" — jak go zwali przyjaciele — utonął w oczach wielu ludzi. Jeśli nawet nie znaleziono jego ciała, śmierć jego była faktem, którego po kradzieży w banku, nikt nie mógł negować ani kwestjonować.

Od tej chwili był on rentjerem Edgarem Watzem, który chciał wypocząć w Are po wyczerpującej pracy zawodowej.

Zjadł śniadanie, poszedł do kina, poczem przechadzał się po Standrog, gdzie, ku wielkiej swej radości, przekonał się, że żaden z jego znajomych, których tu licznie spotykał, nie domyślał się ani przez chwilę, że przechodzi koło Enara Windego. Po dobrym obiedzie wyjechał Edgar Watz, alias kasjer Enar Winde — o godzinie ósmej z głównego dworca, jako jeden z najspokojniejszych, najszczęśliwszych ludzi świata.

Ogromna radość wypełniała mu piersi, kiedy stojąc przy oknie w przedziale, zapalił cygaro za dwie korony. Wszak życie miało swój urok!

IV.

Jakiś pan zaglądnął do przedziału, gdzie siedział Edgar Watz i wszedł. W ręku trzymał cygaro i prosił o ogień.

— Dziękuję — rzekł przybysz, zapaliwszy cygaro.

— Pozwoli pan, że się przedstawię: Leon Carring, prywatny detektyw.

Rentjer Edgar Watz stał się purpurowy, a potem zaraz rażąco blady.

— Jadę do Upsali — ciągnął Carring. — I jeśli pan nie będzie miał nic przeciwko temu, aby jechać w towarzystwie detektywa, to chętnie zająłbym tutaj miejsce. — Wszystkie inne przedziały są przepełnione.

— Proszę bardzo — odrzekł Winde, który już odzyskał do pewnego stopnia pewność siebie.

— Dziękuję panu. Wielu ludzi ma wrodzone uprzedzenie do wszystkiego, co pachnie detektywem.

— Ja... nie — zaprotestował Winde, który był już stosunkowo spokojny. — Przeciwnie, cieszę się bardzo, że poznałem tak znakomitego detektywa. Detektyw prywatny usiadł, a tymczasem poczucie bezpieczeństwa rosło coraz bardziej u fałszywego Watza.

Gwarzyli o tem i o owem.

— Czy pan nie jedzie może w jakiej sprawie kryminalnej? — zapytał naraz Winde.

— Owszem — odparł Carring. Czy nie słyszał pan o wielkiej kradzieży bankowej, dokonanej dziś rano?

Enar skostniał i zimny dreszcz przeszedł mu wzdłuż pleców.

— Nie — odparł niepewnie, — w dziennikach nic o tem nie było.

Kradzież odkryto dopiero około południa i to całkiem przypadkowo.

— Tak?! — rzekł Winde. — No, a czy sprawca już znany?

— Tak. Był nim kasjer tego banku Winde. On to włamał się i ukradł wszystkie pie-

— Kasjer Winde!?... — powtórzył Watz, jakgdyby szukał w pamięci. — A... to zapewne taki rudowłosy, co?

Detektyw przytakiwał głową.

— Tak jest. Ale w międzyczasie uległ on nieszczęśliwemu wypadkowi. Niedługo cieszył się owocami swej kradzieży. Dzisiaj popołudniu utonął w oczach wielu osób, w czasie kąpieli. Prawdopodobnie była to apopleksja.

— Ach — mówił Watz, udając, iż go to wszystko mało obchodzi. — Tak to karząca dłoń Opatrzności uczyniła zbędnemi wyroki ludzkie.

— Niestety poczęści tylko. Skradzionych pieniędzy bowiem nigdzie nie znaleziono.

— Tak!? to zapewne musiał je dobrze schować — rzekł były kasjer, który czuł się już teraz zupełnie bezpieczny.

— Niewątpliwie kradzieży tej dokonano bardzo sprytnie, nieprawdaż?

— Wcale nie! Tego nie mógłbym powiedzieć. Poczciwy Winde obmyślił wszystko bardzo szczegółowo. Ale w dwu wypadkach okazał się bardzo nieprzezornym.

— Pod jakim względem?

— Po pierwsze: powinien był staranniej usunąć w swoim pokoju ślad po ostrzyżonych włosach i brodzie. Kiedy przed kilku godzinami przeprowadzałem w jego pokoju rewizję, zauważyłem natychmiast, że się niedawno golił. A jeszcze większą wprost już głupotą było, mianowicie to, że perukę i fałszywą brodę zamówił na swoje nazwisko.

Detektyw wyciągnął papier i podał go swojemu towarzyszowi.

— Taki mały rachunek może okazać się nieraz bardzo zdradzieckim — dodał śmiejąc się.

Ku swemu wielkiemu przerażeniu trzymał fałszywy rentjer w swem ręku pokwitowany rachunek za perukę zamówioną u Albina Stohla. Takiego rachunku nigdy przedtem nie widział. Wszak zapłacił gotówką i nie żądał żadnego pokwitowania.

Mienił się więc na twarzy i ogarnął go okrutny strach:

— Skąd ma pan... ten... rachunek? — wyjąkał.

— Rzecz prosta! Z mieszkania Windego.

— To kłamstwo! — zawołał Winde oburzony, ale natychmiast umilkł, zdjęty przerażeniem z powodu swego nierozsądku. Ale już w tej samej chwili ujrzał jak detektyw wyciąga browning z kieszeni i kieruje ku niemu.

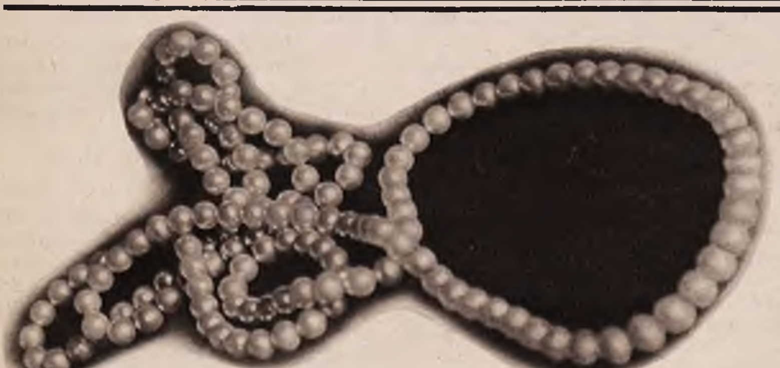
— Proszę się nie ruszać, panie kasjerze — odezwał się Carring. — Za kilka minut będziemy w Upsali i tam będzie pan ujęty...

Znieruchomiały z przerażenia musiał Enar Winde przyglądać się spokojnie, jak detektyw zabiera obie jego walizki z pół miljonem. Podczas tego browning trzymał go na miejscu w szachu. Kiedy jednak pociąg zajechał do Upsali, czujność Carringa zdawała się słabnąć. Rozkazał Windemu wysiąść przed sobą z pociągu, ale potem nie troszczył się o niego wcale, z czego — rzecz jasna — Enar skorzystał bezwłocznie, wyskakując szybko z pociągu i gubiąc się w tłumie..

Zamiast ścigać go, detektyw zaśmiał się z cicha:

— To był twój najśmielszy pomysł, na jaki kiedykolwiek zdobyłeś się, kochany Albinie Stohl! — rzekł do siebie, uwalniając się od peruki, sztucznego nosa i t. p., które czyniły go sobowtórem Leona Garringa.

— Oto nagroda za to, że tak wytrwale szpiegowałem swego przyjaciela Windego od chwili, kiedy zakupił u mnie perukę... I podczas, gdy kasjer jaknajspieszniej opuszczał dworzec, sprytny perukarz udał się z obu walizami do poczekalni i informował się, kiedy odchodzi zpowrotem najbliższy pociąg do Stockholmu.



MIKIMOTO
KRÓL PEREŁ

Na prawo: „Król pereł" Mikimoto, przechadza się po ogrodzie swego zięcia Yokohamy.



Stara turecka legenda mówi, że pewnego razu Mahomet spotkał na swej drodze biedną kobietę, rozpaczającą nad nędzą swych dzieci i płaczącą rzewnemi łzami. Zlitował się nad nią prorok i wkrótce łzy jej zamieniły się w perły o wspaniałym blasku, z których jedna jedyna już wystarczała na wyżywienie całej rodziny. I istotnie widok perły wzbudza w większości osób wrażenie jakiegoś smutku, a według licznych przesądów, przynoszą one nieszczęście. Nie zawsze jednak zwracano uwagę na te domniemane właściwości perły, gdyż należała ona zawsze do najulubieńszych klejnotów i nieraz zdobiła biżuterje, które stały się zczasem historycznemi pamiątkami. Nie mówiąc już o zamiłowaniu, jakie indyjscy maharadżowie posiadają dla pereł, wszystkie nieomal koronne klejnoty europejskie składały się z nich w wielkiej części. Gdy w XVI wieku augsburski złotnik sporządził nową cesarską niemiecką koronę, umieścił na jej szczycie wspaniałą perłę w postaci gruszki, słynną też perłą w historji była „Perigrina", którą w r. 1579 kupił król hiszpański Filip II. Była ona wielkości gołębiego jajka, a ważyła 34 karaty. Inną perłę, wagi 126 karatów, kupił następca jego na tronie hiszpańskim, Filip IV za cenę 80.000 dukatów. Perła ta przeszła wkońcu na własność ks. Jussupow. W XVI wieku najpiękniejsze perły miała posiadać Katarzyna, żona ks. Orleańskiego, późniejszego Henryka II. Stały się one następnie własnością króla Franciszka I, potem znów królowej Marji Stuart.

Perły niezawsze służyły tylko do dekoracji koronnych klejnotów lub pięknych kobiet: niekiedy pito je, rozpuszczając w occie! Tak uczynił sir Tomasz Gresham za panowania królowej Elżbiety podczas przyjęcia, wydanego na cześć hiszpańskich gości, by im pokazać, w jakim zbytku żyją Anglicy! Zwyczaj ten istniał zresztą też za czasów rzymskich. Jeżeli pojęcie perły łączy się nierozerwalnie z postacią królowej egipskiej Kleopatry, lubującej się w tych klejnotach, to również i inne późniejsze postacie historyczne zawsze miały na sobie sznury pereł czy perłowe kolczyki. Takim amatorem był np. ścięty Karol I, portretowany przez Van Dyck'a z wspaniałą gruszkowatą perłą, jako kolczykiem. Współcześni pamiętnikarze podają, że gdy ścięta głowa królewska potoczyła się po deskach szafotu, obecni rzucili się w jej stronę, by zdobyć bezcenny klejnot.

Również dobroduszny mecenas artystów, papież Leon X, zamiłowany był w perłach.

Znany podróżnik i jubiler francuski Tavernier, który zwiedził Persję, Turcję i Indje, przywiózł do Europy największe perły, jakie tam kiedykolwiek widziano. Wśród przywiezionych klejnotów znajdowała się też perła szacha perskiego Seli. W tymże samym czasie (1670) „asem" pereł był pewien egzemplarz w posiadaniu imana Muskatu, w Ormusie. Tavernier twierdził, że chociaż nie ważyła nawet 12 karatów, to jednak posiadała tak przedziwną jasność, blask i przejrzystość, że wydawała się niemal przeźroczystą. Wśród innych słynnych pereł należy wymienić jeszcze perłę „La Régente", należącą do Napoleona I. Zdobiła ona djadem cesarzowej Marji Ludwiki, w r. zaś 1853 zrobiono z niej broszkę. I ona znalazła się wkrótce w posiadaniu ks. Jussupow, gdyż wraz z innemi klejnotami cesarskiemi została w r. 1886 wytawiona na licytację za sumę miljona i dwustu tys. franków. Klejnoty monarsze, budzące podziw i zazdrość za dobrych dni, stanowiące zaś tylko objekt sprzedaży w chwilach klęski — zwykle opuszczają po licytacji dostojną oprawę, by stać się materjałem, z którego jubiler wedle woli nowego nabywcy tworzy nową biżuterję. I tak wśród wielu cennych klejnotów, noszonych przez piękne Amerykanki czy bogate Europejki możnaby znaleźć perły i inne drogie kamienie, które były świadkami historycznych wydarzeń, świadkami triumfu i chwały, ale też klęski i upadku. Oto zamierza ostatnio królowa Ena hiszpańska sprzedać swe klejnoty, wśród których przeważają perły i szmaragdy za sumę 250.000 funtów szterlingów! Znany jubiler nowojorski Paul Flato, został przez królowę upoważniony do prowadzenia odnośnych pertraktacyj.

Zamiłowanie do pereł było cechą zwłaszcza renesansu Jak pokazują nam portrety Holbeina, Dürera, Tycjana, a później Van Dyck'a, Rubensa, Valasqueza i wielu innych malarzy, nietylko kobiety nosiły dużo pereł, na sukni, jako całe sznury i naszywki i na czepcach, ale też mężczyźni, zwłaszcza w postaci kolczyków lub naszywek na ubraniu, jak to widzimy na portrecie Henryka VIII, malowanym przez Holbeina. W ostatnich czasach najpiękniejsze perły posiadały królowa Małgorzata włoska, obecnie zaś królowa włoska Helena i królowa-wdowa angielska Mary, nie mówiąc oczywiście o bezcennych okazach, znajdujących się w skarbcach hinduskich maharadżów, np. u Gaekwara Barody, lub maharadży Gwaljoru.

Cóż dziwnego, że w dziedzinie, w której decyduje **jedynie** „prix d'affection", a więc cena w danych warunkach najpewniejsza, pewien **Japończyk** zrobił na perłach olbrzymi majątek, zyskując przytem tytuł „króla pereł"? Człowiekiem tym jest 78-letni Kokichi Mikimoto, pochodzący z zatoki Toba, który karjerę życiową rozpoczął od sprzedawania jarzyn na miejscowym targu. Oddawna obserwował on z zainteresowaniem wielką ilość muszel, jaka zalegała przybrzeże jego rodzinnego miasta. Będąc na wystawie rękodzielniczej w Tokjo w r. 1890 pierwszy raz bodaj zaświtał mu w głowie projekt wykorzystania ostryg w celach handlowych. Chociaż fabrykacja „sztucznych" pereł była zasadniczo dawno znaną, to jednak próby w tym kierunku nie dawały rezultatu i sam Mikimoto długie lata męczył się nad wynalezieniem właściwego sposobu. Wkońcu udał się wielki eksperyment: muszla „zaszczepiona", wydała prawdziwą, piękną perłę. Praca Mikimota trwała przez 23 lat, ale też rezultat jej przechodził wszelkie oczeki-



Na prawo: Liczne pracownice zatrudnione w przedsiębiorstwie Mikimoty, sortują perły zależnie od wielkości i koloru.



Zanim młode Japonki pracujące w zakładach Mikimoty udadzą się na połów muszel, przytwierdzają do swego paska małe drabinki sznurkowe.



Poniżej: A oto kosze, w których odpowiednio „przygotowane" muszle zanurza się znów w morze.



Oglądując głębinę morską przez drewniany „periskop" łowca muszel wydobywa je na głębokości 3 m zapomocą długiego kija, posiadającego rodzaj nożyc.





Od lewej: Sekretarka „króla pereł" obserwuje pracę dziewcząt na morzu. Charakterystyczne słomiane kapelusze chronią je przed prażącem słońcem. — Jedna z licznych pracownic Mikimoty: w ręku trzyma rodzaj ochronnych okularów, pozwalających jej przy nurkowaniu obserwować głębinę morską.

Wszystkie zdjęcia fot. C. Anders — Paryż



Mikimoto, który ma na sumieniu miljony ...ostryg, zbudował duchom tych stworzeń „ekspiacyjną" świątynię, w której fundamentach spoczywać ma jako ofiara 10 miljonów pereł!

wania. Powstały w Toba specjalne laboratorja, sale, w których dokonywa się operacji wkońcu „wylęgarnie" w morzu. Do łodzi zbiera się ostrygi, które zwinni nurkowie wydobywają z głębin. Zoperowane już muszle, złożone w specjalnie na ten cel sporządzonych koszach, oczekują w morzu przez siedem lat, aż wytworzy się w nich perła! Praca cicha, spokojna, tak typowa dla Japończyków, trwa od świtu do wieczora. W koszach „dojrzewają" przyszłe ozdoby różnych kosztownych kolji, pierścieni i brosz.

Zgarbiony wiekiem Kukichi Mikimoto który obecnie jest magnatem, jedym z najbogatszych ludzi w Japonji wędruje w prostem, ubraniu, z sękatym kijem w ręce po wąskich ścieżkach swego ogrodu, który jak wszystko w jego ojczyźnie, przypomina świat dzieci. Z zadowoleniem spogląda na świątynię, którą zbudował bogom, z zadowoleniem śledzi pracę nurków, uwijających się w zatoce. I gdy zasiądzie na macie w swoim domu,



Miljoner japoński znany jest z swojej szczodrobliwości i wspaniałych prezentów. — Oto jeden z nich w postaci świątyni, zrobionej wyłącznie z pereł i masy perłowej.



Charakterystyczny obrazek, jaki łatwo można zaobserwować w zatoce Toba: dziewczyna japońska, szukająca muszel i korzystająca w tym celu z ochronnej skrzyni.

gdy zwróci twarz ku figurze Buddy, królującej na ołtarzu domowym, będzie znów tylko prostym, skromnym człowiekiem, chociaż wszelkie zaszczyty i honory stały się jego udziałem, chociaż jest członkiem japońskiej izby panów i kawalerem wielu orderów oraz właścicielem wielu miljonów jen.

— Bogom należy się podzięka za to, że pokierowali szczęśliwie memi krokami — mówi stary człowiek, kończąc swe modlitwy.

JGM.

PÊLE MÊLE

Gazety angielskie doniosły, że pewna wioska w dolinie Zambezi miała obchodzić święto żniw. Poczciwi murzyni przygotowali kilka kadzi z piwem i poszli spać. W nocy przyszły słonie, by pożywić się na polach, jeden skosztował najprzód z ciekawości piwa, potem ze smakiem wypił parę kadzi. Świadkowie zgodnie twierdzą, że zachowanie się rozweselonego słonia było bardzo niepoważne. Natomiast poważnem było to, że na drugi dzień mieszkańcy musieli swą wioskę w zupełnie innem miejscu odbudować. A propos: wszystkie zwierzęta mniej lub więcej chętnie piją alkohol, z wyjątkiem... świni! Fakt ten notuję zupełnie, ale to zupełnie objektywnie i nie mając zamiaru dotknąć jakiegoś fanatyka wody.

W Afryce są — wiadomo — piramidy świadkowie cywilizacji, o której coraz częściej twierdzą uczeni, że jej ani w ułamku nie znamy. Wiedza kapłanów egipskich miała być bardzo głęboką — coraz więcej znajduje się na to dowodów. Np. kanał sueski był po raz pierwszy wykopany w XIV wieku p. Chr., w XII w. drugi raz, po zamuleniu pierwszego. W wymiarach piramidy Cheopsa znaleziono wiele ciekawych danych, a m. i.: obwód podstawy, podzielony przez wysokość, daje 3.14, a więc stosunek średnicy do obwodu koła —

Odległość ziemi od słońca jest wielokrotnością wysokości piramidy. Południk biegnący przez nią dzieli deltę Nilu na dwie równe części, a pozatem przebiega przez najwięcej części. Jeden Anglik znów odczytał na planie wewnętrznych chodników piramidy całą historję świata. Punkty wyznaczone przez stopnie, podesty itd. oznaczają według niego ważniejsze daty historji.

Zachwycaliśmy się filmem „Bounty". Srogi był kapitan Bligh, biedni ci buntownicy itd. Pamiętamy, że Bounty dobił do wyspy Pitcairn na wschodnim końcu Polinezji. Grupka złożona była z 9 białych, 6 kolorowych mężczyzn z Tahiti i 12 tahickich dam — pod dowództwem Christiana Fletschera. Działo się to w 1789 r. Na wysepce tej żyje obecnie 52 rodzin potomków buntowników. Żyje też pra-pra-wnuk Fletchera — Wiliam Christian, starszy pan o zgryźliwym wyrazie twarzy, na której znać domieszkę kolorowej krwi, dalej pastor tegoż nazwiska i wielu innych. Przodkowie ich wymordowali się w sporach o kobiety tak „dokładnie", że śmiercią naturalną zmarł tylko jeden z nich Adams, który nazwał, dotąd isniejącą osadę, od swego nazwiska, Adamstown. Właściwie to powód całego buntu nie jest jasny. Kpt. Bligh, sądząc z portretu i pamiętnika, nie był człowiekiem złym, raczej dobrym. W pamiętniku swym pisze, że z Christianem był w jaknajlepszych stosunkach, wogóle nie miał nigdy kłopotów z załogą, ba, na kilka godzin przed buntem jeszcze wszystko było w porządku. Bligh przypuszcza, że powód, jak zwykle „cherchez la femme", leży w tem, że załoga chciała pozostać w Polinezji, by podtrzymać miłe znajomości, zawarte wśród tamtejszych panienek.

Tyle się słyszy o potrawach z gniazd jaskółczych, że zdawałoby się, że Chińczycy nic innego nie robią, tylko zajadają się tym smakołykiem o wyglądzie galarety. Tak nie jest, bo to jest dość kosztowna przyjemność. Porcja na kilka osób kosztuje paręset złotych. Jaskółki gnieżdżą się na wyspach oceanu Indyjskiego, płn. Madagaskaru, Malajskim Archipelagu. Wysepki te wydzierżawiają przedsiębiorcy, płacąc grube setki tysięcy za prawo zbierania tych, ze śliny ptaszków lepionych, gniazd. Przyrządzenie polega na gotowaniu w ocukrzonej wodzie. Eksploatacja wysepek połączona jest z dużym ryzykiem, bo wrogiem jaskółek są nietoperze — jeżeli one zwyciężają, to wysepka oczywiście nie przedstawia żadnej wartości.

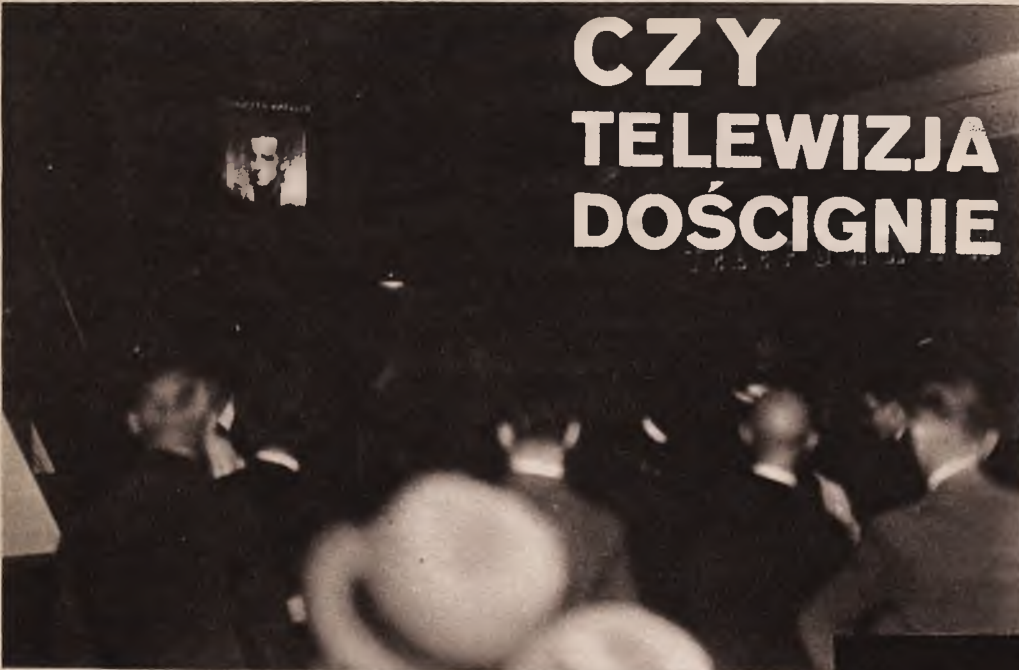
Niedawno poruszono naszą bolączkę — „pracownice domowe". Bezwzględnie niezdarność i nieumiejętność ej kasty jest wprost niawiarygodna i wypróbowywana na nerwach pań domu. A czy są idealne służące na świecie? I owszem, ale na dalekim wschodzie. Taką naprawdę perłą jest chiński boy, konieczny atrybut kolonialnego gospodarstwa. Zawsze uśmiechnięty, pogodny, bajecznie czysty i przywiązany. Świetny kucharz (nie Francuzi, ale Chińczycy są najlepszymi kucharzami świata) i to kucharz, który nie je tego, co gotuje, o ile to są europejskie potrawy, doskonała praczka i prasowaczka. Robi cudownie zakupy. Jak się z nim dobrze obchodzić, to się ma najlepszego przyjaciela, który w dodatku nigdy nic ma i nie potrzebuje wychodnego. On nawet je na własny koszt — wszystko za zł. 50 miesięcznie. Żeby usunąć wątpliwości: boy, to tylko nazwa, gdyż jest często żonaty i dzieciaty, dojrzały mężczyzna lub starszy pan.

Jerzy Dołęga-Lewandowski.

RUSAŁKA...
Fot. Polonsky — Hollywood.



CZY TELEWIZJA DOŚCIGNIE RADJO?



Na lewo: Na wystawie radjowej w Berlinie w r. 1935 demowstrowano telewizję według systemu Karolusa.

Poniżej: Ekran dla projekcji telewizyjnej Karolusa wielkości 2 m. kw., na którym znajduje się 10 tysięcy małych żarówek.



Dziwnem jest jak prędko ludzie przyzwyczajają się do wszelkiego rodzaju nowości. Przecież dwadzieścia lat temu radjo należało właściwie jeszcze do rzeczy niedostępnych, nieudoskonalonych, o których co najwyżej czytamy tu i ówdzie w ówczesnych gazetach. Wiedziano o tem, że istnieje radjotelegrafja. Przecież z niej korzystano podczas wojny. Ale mało kto jednak, poza specjalistami, interesującymi się temi sprawami, przypuszczał, że rozwój tego wynalazku będzie tak raptowny i że w ciągu kilkunastu lat lampowy aparat radjowy, nie mówiąc już o detektorze, stanie się dostępny dla wszystkich. Co więcej, że funkcjonowanie tych aparatów i odbiór audycyj będą tak doskonałe, iż znajdą one szerokie zastosowanie nawet w salach koncertowych, poświęconych „czystej" muzyce. Wiedza i technika ludzka dokonały tu istotnie czegoś zdumiewającego. Słuchanie produkcyj muzycznych lub oracji wybitnych ludzi u siebie w domu, nawiązanie kontaktu ze znaczną częścią globu ziemskiego, zależne zupełnie tylko od widzimisię posiadacza radjo-aparatu jest niesłychanem zwycięstwem człowieka w walce z przestrzenią. Poprzez setki i tysiące kilometrów biegną tajemnicze impulsy elektryczne, w które mikrofon stacji nadawczej zamienia fale głosowe. I my, siedząc przy odbiorniku, lekkim ruchem ręki wybieramy sobie dowolnie to, co nas w danej chwili bawi lub ciekawi.

Niespokojna natura ludzka, a możnaby powiedzieć także dążność do doskonałości, nie zadowala się temi osiągniętemi sukcesami. Cóż nam z tego, że możemy słyszeć świetnego artystę lub interesującego mówcę, kiedy go nie widzimy i nie możemy go obserwować! Dlaczegóż mamy zadowolić się słuchanym opisem jakiegoś ciekawego zdarzenia lub reportażem? Już samo to pytanie uwydatnia olbrzymie, mimo wszystko, braki dotychczasowych urządzeń przekazywania na odległość całokształtu jakiegoś zjawiska. W wielu wypadkach przecież wrażenie wzrokowe jest nie do zastąpienia przez żaden choćby najbarwniejszy opis mówiony. Porównajmy np. słuchowisko radjowe z prawdziwym żywym teatrem lub zawody sportowe z relacją o nich.

A więc nie można się dziwić, że wypatrujemy od kilku lat wiadomości o postępach telewizji. Chcemy wiedzieć, czy naprawdę nadchodzi już dzień, w którym będziemy mogli nietylko akustycznie, ale i wzrokowo, nie opuszczając swego mieszkania, uczestniczyć w najciekawszych zdarzeniach i uroczystościach. Czy naprawdę będzie mógł każdy mieć kino w domu?? I nietylko słuchać, ale i widzieć opery, w wykonaniu najlepszych zespołów? Co właściwie dzieje się z telewizją? Czy jest ona wogóle możliwa?

Ta cała sprawa przypomina trochę dzieje filmu. Tylko, że tam właściwie działo się odwrotnie. — Najpierw mieliśmy film niemy, karmiono nas samymi wrażeniami wzrokowymi, uzupełnianymi mniej lub więcej odpowiednim akompanjamentem orkiestry. Patrząc na ekran widzieliśmy plamy czarno-białe, szybko się poruszające i musieliśmy sobie każdy z osobna coś dośpiewywać do tekstu oglądanego. Aż wreszcie przyszedł film dźwiękowy. Nietylko widzimy, ale i słyszymy aktorów. I teraz dopiero zdajemy sobie sprawę, co znaczy zespół wrażeń wzrokowo-dźwiękowych. A z przesyłaniem obrazów dzieje się wprost przeciwnie. Mamy coprawda aparaty radjowe, słyszymy doskonale, ale... widzimy tylko w naszej wyobraźni!

Otóż nie ulega wątpliwości, że postęp telewizji nie idzie w tym samym tempie, do jakiego przyzwyczaiło nas radjo. Trudności są tu niebyle jakie. Już samo przeniesienie jednego tylko obrazka na odległość, co dzisiaj jest rzeczą zupełnie już konkretną i dostępną dla każdego (świadczy o tem choćby fakt możności nadawania takich obrazów w każdym większym urzędzie pocztowym u nas i zagranicą) nasuwało mnóstwo problemów technicznych, dość trudnych do rozwiązania. Pomyślmy tylko, że do dnia dzisiejszego i w dalekiej jeszcze przyszłości przekazywanie jakiegokolwiek obrazka odbywa się i odbywać się będzie etapami, tj. punkt po punkcie. Nie spotykamy się więc tutaj z takim wypadkiem, jaki istnieje np. przy fotografji zwyczajnej, w której za jednym zamachem w jakimś ułamku sekundy — mamy obraz gotowy na kliszy. Obraz, który powstał nie stopniowo, tylko za jednym zamachem. — W przekazywaniu obrazów na odległość jednak cały obraz zostaje podzielony na olbrzymią ilość punktów świetlnych. Każdy z tych punktów, mniej lub więcej jasnych, zostaje z odpowiednio do tego zmiennem natężeniem przekazywany i wtedy na ekranie odbiorczym ze sumy tych poszczególnych punktów świetlnych o różnem nasileniu powstaje gotowy obraz. Dla przykładu możnaby przytoczyć taki fakt z życia gospodarczego: Ktoś chcąc przekazać 500 złotych do innego miasta, zamienia je najpierw na same grosze i każdy grosz zosobna przesyła i dopiero na miejscu przeznaczenia te 50.000 groszy zamienia znowu na 500 złotych. Jakbyśmy oceniali takie postępowanie?

Otóż zupełnie podobnie ma się rzecz przy przekazywaniu obrazu na odległość. A teraz dodajmy jeszcze tę trudność, której nie było w wyżej przytoczonym przykładzie z dziedziny finansowej. A mianowicie, że to przekazywanie poszczególnych punktów świetlnych musi się odbywać z niesłychaną szybkością. Zwłaszcza, że chcąc na ekranie odbiorczym mieć obrazy, przypominające obrazy na ekranie kinematograficznym, musimy na sekundę przesłać przynajmniej 25 obrazków. W praktyce oznacza to, że w jednej sekundzie przesyła się



Portret telewizyjny, wyświetlany na ekranie projekcyjnym Karolusa.

aż miljon impulsów świetlnych. Obraz twarzy osoby siedzącej w kabinie nadawczej zostaje bowiem rozłożony na 40.000 kolejno po sobie naświetlonych punktów, a ponieważ w ciągu sekundy musimy przekazć 25 zdjęć z całej twarzy, przeto prosty rachunek wykazuje, że każdy element punktowy na twarzy tejże osoby zostaje przez

Poniżej: Aparatura kontrolna i amplifikator fotoceli systemu Karolusa.



aparaturę nadawczą naświetlony raptem przez 1 miljonową część sekundy! A my przecież chcemy widzieć na ekranie odbiorczym obraz jasny i wyraźny. Jakaż więc musi być siła światła zarówno w aparaturze nadawczej i odbiorczej, aby przy tak krótkiem oświetleniu otrzymać wynik pożądany. Ten „brak światła" jest właśnie jedną z głównych trudności telewizji. On to powoduje również, że obrazy przekazywane i odbierane przez istniejące odbiorniki telewizyjne nie przekraczają w długości, wzgl. szerokości kilkudziesięciu. Im większy bowiem jest obraz, tem więcej oczywiście jest tych punktowych elementów świetlnych, które w sekundzie musi się przekazać. Nic dziwnego więc, że obrazki na ekranie odbiorczym są stosunkowo ciemne i mało wyraźne. Bo wyrazistość obrazu wzrasta wraz z ilością punktów świetlnych.

Tak samo jak reprodukcja fotomechaniczna w czasopiśmie jest tem dokładniejsza, im więcej punktów na cm kwadratowy liczyła siatka czyli raster) używany podczas zdjęć. Dodajmy jeszcze, że przy prawdziwej telewizji tj. przy przekazywaniu na odległość obrazów z natury, nie można dowolnie zwiększyć siły naświetlenia zdejmowanego przedmiotu. Jeżeli już w kinematografie obrazy z natury wypadają przeważnie o wiele ciemniej aniżeli zdjęcia w atelier, to cóż dopiero w telewizji! — A przecież od siły tegoż światła zależy cały proceder przy przekazywaniu obrazu. Bo żeby pokrótce przypomnieć sobie główne zasady telewizji uwzględnijmy, że światło odbite z przedmiotu, którego zdjęcie chcemy przesłać na odległość, pada na komórkę fotoelektryczną. Pomijamy tu już wyżej wspom-



Wnętrze kabiny nadawczej w czasie projekcji telewizyjnej.

nianą okoliczność że obraz padający na komórkę fotoelektryczną zostaje uprzednio podzielony na elementy, czyli na punkty świetlne. Są bowiem systemy np. system Zworykina), gdzie cały obraz pada odrazu na system komórek fotoelektrycznych. A komórka fotoelektryczna właśnie w zależności od stopnia natężenia światła wytwarza impulsy elektryczne o różnem natężeniu, zależnie od tego, czy dany punkt świetlny był jaśniejszy, czy też ciemniejszy. Te impulsy elektryczne zostają kolejno jeden po drugim przesłane na odległość bądźto zapomocą ultrakrótkiej fali radjowej, bądźteż zapomocą specjalnych kabli. W odbiorniku zaś następuje odwrotnie przekształcenie tych impulsów elektrycznych na świetlne w tzw. lampie Brauna. Jedna ściana tejże lampy, pokryta wewnątrz masą fluoryzującą, a więc świecącą pod działaniem strumienia elektronów stanowi właśnie ekran telewizyjny na stacji odbiorczej.

Narazie więc nie można mówić o tem, ażeby telewizja mogła nam już dać kino na odległość. Na to obrazy są za małe i za ciemne. Czyniono wprawdzie próby powiększenia tych obrazów drogą projekcji. A więc obraz z ekranu aparatu odbiorczego zostaje rzucony na większy ekran, tak, jak się to dzieje przy projekcji zwyczajnych filmów kinematograficznych na sali kinowej. Osiągnięto w ten sposób obrazy o wielkości kilku m kwadratowych.

Inną metodę powiększenia obrazów telewizyjnych zastosował prof. Karolus. Jak bowiem na załączonych fotografjach widzimy, cały ekran pokryty jest wielką ilością elektrycznych żarówek. Jest ich np. 10.000. Poszczególne impulsy świetlne powodują zaświecenie się poszczególnych lampek, przyczem światło oczywiście ma zmienne natężenie, zależnie od tego czy w danem miejscu ma być punkt mniej lub więcej jasny. W ten sposób można zdaleka nawet zaobserwować obrazy na tym ekranie telewizyjnym, co dotychczas było przecież niemożliwe. Ale także i ten system jest daleki od doskonałości. Świadczą o tem choćby załączone fotografje, pokazujące, jak wyglądają zbliska obrazy na tym ekranie żarówkowym. Obraz taki także i z odległości pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Chociaż więc telewizja nie jest jeszcze dojrzała do uzupełnienia aparatów radjowych pod względem wizualnym, to jednak praca nad jej udoskonaleniem trwa nieustannie i może w niedalekiej przyszłości stanie się ona dostępną dla wszystkich.

W jakiej formie ma to być urzeczywistnione? Nie ulega najmniejszej kwestji, że ideałem odbiorczego aparatu telewizyjnego będzie połączenie go z aparatem radjowym w jedną całość, przyczem w grę wchodzi wbudowanie obu odbiorników w jedną skrzynkę, pod względem formatu taką, aby nie zajmowała zbyt wiele miejsca, co da się uskutecznić tylko wówczas, jeśli t. zw. ekran telewizyjny doprowadzimy do małych rozmiarów. Wówczas spełni się marzenie wielu konstruktorów, którzy dążą do stworzenia aparatu, umożliwiającego widzenie i słuchanie przebiegu pewnych zdarzeń, rozgrywających się na odległość.

Jeszcze wiele wody upłynie, zanim to marzenie stanie się rzeczywisością. Wspomniane w artykule trudności z pokonaniem warunków świetlnych przy reprodukcji obrazów telewizyjnych są prawdopodobnie ostatnią przeszkodą do realizacji wielkiego dzieła nowoczesnej techniki.

Inż. A.



Ekran projekcyjny Karolusa w powiększeniu.
WSZYSTKIE ZDJĘCIA M. LORANT, LONDYN

W ZOREM COWBOYÓW...



George O'Brien.





Powyżej: U celu porannej wycieczki... (Lyna Carver i Donald Loomis).

Na lewo: Gertruda Michael wybiera się na konną przejażdżkę w okolicach Pasadeny.



Ulubieniec amazonki (Ann Sothern).

Ileż to razy podziwialiśmy na filmie nieprawdopodobną technikę jazdy synów preryj, którzy lotem błyskawicy przemierzają olbrzymie przestrzenie dzikich ostępów Ameryki, posługując się koniem, jako jedynym tam dostępnym „środkiem" lokomocji. Ale nietylko sama technika jazdy oszałamia nas — widzów tych niezwykłych popisów hippicznych. Uderzyć musi każdego moment opanowania zwierzęcia przez człowieka — zwierzęcia, które niejednokrotnie pojawia się przed objektywem w stanie „surowym", bez poprzedniej tresury, a więc takie, jak je Pan Bóg stworzył — dzikie i nieokiełzane.

I dopiero żelazne mięśnie cowboya zmuszają je do posłuszeństwa. Wtedy już nie technika jazdy, ale to wszystko, czem szermował człowiek pierwotny, występuje na plan pierwszy. Stajemy się świadkami imponującej walki człowieka o prymat wśród stworzeń na ziemi — odżywa w nas wspomnienie obrazów, które wytworzyła nasza fantazja podczas lektury powieści, opisujących warunki, w jakich rozwijało się życie ludzi przed wielu wiekami — słowem oglądamy wycinek zdarzeń, zaryzykujemy słowo: przedhistorycznych, przeniesionych w obecne czasy radja, samolotów i innych cudów techniki, a umiejscowione tam, gdzie nawet dzisiejsze warunki życia pozostały z bardzo małemi wyjątkami niezmienione na przestrzeni wielu setek lat.

Sport hippiczny, uprawiany już nietylko przez mężczyzn, ale i przez piękne panie, zachowa prócz wymogów sprawności fizycznej po stronie jeźdźca lub amazonki również i w pewnej mierze moment walki człowieka z zwierzęciem, w którem mimo najbardziej wymyślnej tresury częstokroć odzywają się pierwotne instynkty, nakazujące mu opór przed wolą jeźdźca. Wówczas do wielu przyjemności jazdy konnej dołącza się jeszcze emocja, która staje się udziałem każdego, kto w sensie sportowym walczy z przyrodą.

Rodney.

JOTA ARAGONESA



HISZPANJA

w zwierciedle rodzimej piosenki

Słynie szeroko w świecie ludowa piosenka włoska, rywalizująca z niefrasobliwą bulwarową śpiewką nadsekwańskiej stolicy. Pod błękitnem niebem Italji rozbrzmiewa pogodną nutą z gondol weneckich i barek, żeglujących po lazurowej toni neapolitańskiej zatoki, oryginalną melodją i urokiem nastrojowego otoczenia, oczarowując zasłuchane rzesze turystów.

Lecz na półwyspie apenińskim, na gruzach imperjum cesarzów a u kolebki nowowskrzeszonego imperjum Italji, poważna „canzona" lub lekka „canzonetta" rozbrzmiewa jedynie w pewnych okolicach, zwłaszcza wśród lagun, wykopalisk lub na tle dymiącego stożka Wezuwjusza, intonowana przez śpiewaków, specjalnie oddających się sztuce „bel canto".

Natomiast minąwszy wąwozy masywu Pirenejów, czy pozostawiwszy poza sobą poszarpane turnie skalnego gniazda śmiałego zdobywcy Dżebel Tarika, staje się na granicy Hiszpanji, szczycącej się mianem najbardziej rozśpiewanego kraju na globie ziemskim. Zetknąwszy się z rzeczywistością hiszpańskiego życia, odnosi się wrażenie, że wprost całe społeczeństwo hołduje kultowi pieśni. Nie wzbija się ona wprawdzie na wyżyny kunsztu artystycznego, ale zato rym i rytm ludowych „jota" czy „coplas" stał się powszechną formą wypowiadania myśli, utajonych pragnień lub doznanych wrażeń. W dźwiękach piosenki tętni nerw życia, a ze słów jej tekstu bije impulsywny temperament narodowy, pełen namiętność i bohaterstwa, zdolnego zarówno do krwawej zemsty, jak też i aktów bezgranicznego poświęcenia. Bo piosenka na półwyspie Iberyjskim wyrosła na ziemi, przepojonej krwią obrońców wiary w długotrwałych walkach z Maurami, jak trafnie określił słynny hiszpański kompozytor i wirtuoz Pablo Sarasate, jest „siempre heroica e immortale" — zawsze bohaterską i nieśmiertelną. Stale przebija z jej strof rycerska „grandezza", a skoro raz zdobędzie poklask, nie straci nigdy swej popularności i nie wyjdzie z obiegu.

Podczas „rondallas" nocnych serenad, wabi ku okiennym kratom czarnookie córy najprzedniejszych nawet rodów, owiewając sentymentalną nutą kręte uliczki Sewilli czy Saragossy. Skocznie rozbrzmiewa wśród portowych zaułków Walencji morskiej i dźwięczy w pobliżu szałasów pasterskich, rozsianych po halach Estremadury. Niesiona wiatrem od wsi do wsi, przelatuje nad żyznemi polami i kobiercem łąk Nawarny lub Aragonji, rozgłośnem echem odbijając się od ścian górskich łańcuchów Galicji, Asturji i Leonu. Głuszy stukot silników, zgrzyt zębatych kół i trybów w uprzemysłowionej Katalonji, płynąc z nurtem Guadalajary czy szeroko rozlanego Ebro.

Czarowi piosenki ulegają wszystkie stany. Nuci ją „batturo", wieśniak, orząc swą rolę, inteligent i proletarjusz miejski, zwyczajny „limpiabotas", uliczny czyściciel obuwia. Śpiewają chętnie kobiety, dzieci, nawet starcy usiłują często współzawodniczyć na tem polu z młodymi.

Od wczesnego ranka do późnych godzin nocnych króluje piosenka nad szarzyzną codziennego życia, przy różnorodnym akompanjamencie, gitar, mandolin, „gaita" dud miechowych, podniecana klekotem kastanietów, dla lepszego dźwięku ogrzanych wprost na ciele.

Nic więc dziwnego, iż piosenka, żyjąc wśród ludzi, odzwierciadla w swych zwrotkach najbardziej typowe momenty dnia hiszpańskiego miasteczka czy wioski. Zwłaszcza krótka, ludowa „jota", która poczęła się nad malowniczemi brzegami Jalonu w okolicy Calatayud, stanowi wierne odbicie stosunków dawnej i współczesnej Hiszpanji, przeprowadzając w swych strofach często paralele porównawcze. Rytm „joty" porywa również chętnych w tany, narzucając mimowoli zasadniczy krok tzw. „paso picado". „Jota" opiewa „los toros" walki byków i zasadnicze ich odmiany „capea" walkę bez reguł, „navillada" zapasy z młodemi byczkami, i „becersada" igranie z cielętami, głosząc peany pochwalne ku czci zwinnych i zręcznych matadorów, jak n. p. słynnego na całym półwyspie Marciala Lalandy.

Opisuje urocze zakątki ojczystego kraju, wynosząc pod niebiosa piękno płynącej bystrym nurtem Guadalajary czy barwną mozaikę Torre de la Cantiva — arabskiej ongiś wieży więźniów, lub symetrję serca Madrytu — Plaza de Castelar.

Uwiecznia w swej treści, ginące pod obuchem nowej kultury, stare obyczaje, wspominając o „batella de flores" walce kwiatowej i zapomnianych dziś tańcach „madrilena" lub „vito".

„Jota" śpiewa nawet sama o sobie, znakomicie charakteryzując swą poetycką formę:

La jota es todo, alegria
La jota es todo emocion
I la jota verdadera
Es la jota de Aragon,

który to tekst brzmi w wolnym przekładzie:

Jota wśród przyjaźni tonów
w emocji płynie duchu,
prawdziwa tylko z Aragonu
do tanecznego zmusza ruchu.

Bo „Jota", rozpowszechniona w całym kraju, ulegając lokalnym kolorytom, mieni się wszystkiemi barwami ludowej poezji. Zależnie od okolicy, jest „jota" arragonesa, navarras, castellanas czy gallegas. Lecz za najbardziej szlachetną w tonacji i wierszu uważać należy jotę z Aragonu. Bowiem „grande como el mismo sol, es la jota de esta tierra", urocza jak umiłowane słońce, jest jota tej ziemi, będąca zwierciadłem duszy śpiewaka.

Osią życia hiszpańskich „caballeros" są piękne kobiety. To też piosenka poświęca wiele miejsca płci pięknej i nader często opłakuje jej wady.

Las mujeres en retrato
Entusiasman a cualquiera
Parque estan avregladitas
I tienen la lengua quieta.

Kobieta tylko z portretu
Każdego mężczyznę omami,
Bo wygląda czarująco
I ma język za zębami.

Albo też przypina łatkę „paniom z Pampeluny", które tylko się podziwia bez ognia miłości i żaru pożądania. Oddaje jednakże czołobitną cześć kobietom, które własną piersią osłonięte puklerzem wiary, broniły wolności narodu.

No illevaria Augustina
Cuando disparo el canon
Ni el pelico à la garson
Ni colarete los morros.

„Bo Augustina, gdy grzmiały nieprzyjacielskie baterje, nie malowała warg, ani nie myślała o fryzurze, lecz stawiała zwycięski opór wrogowi".

Wśród strof hiszpańskiej piosenki widać też dużo pierwiastków natury religijnej i etycznej

Dźwięczy też „jota" nutą pogodną, czasami wprost humorystyczną.

Baillando la jota
Se cura el catarno
Ya paice que escucho
La vor del guitarro!

Pląsy taneczne joty
uleczają katary,
mnie w tym celu wystarcza
już nawet sam dźwięk gitary.

Dziś „jota" spoważniała, z treści jej przebija boleść i gorycz, wywołane bratobójczą walką, pogrążającą Hiszpanję w odmętach anarchji i upadku.

Jota „el Standarte" dźwięczy surmami zwycięstwa ku czci falangi hiszpańskiej, zaś inna, rozpoczynająca się od słów: „Cuando disparo el canon", opiewa bohaterskie czyny wojsk generała Franco i obwieszcza rychłe mającą powstać tęczę nad ogarnietą czerwonym potopem Ojczyzną.

Mieczysław Turski.



FILM „NIEMOWLĘ"



Aby wrócić do tych dawnych dni, które obejmuje to opowiadanie, trzeba odnaleźć w pamięci te czasy powojenne, które stworzyły w każdym kraju, a także w Polsce olbrzymią konjunkturę i zapotrzebowanie na wszystko, co stanowiło i dawało chwilę rozrywki i zapomnienia — po okresie najokropniejszych i denerwujących wiadomości z frontu i wnętrza kraju, przeżywającego kryzys wojenny, po okresie zamętu i zupełnej ab-



Mamy być wytworną i zamożną publicznością!

negacji w stosunku do wszystkiego, co nie dotyczyło spraw pierwszej wagi, a więc walki i zwycięstwa.

Prócz tego trzeba ujrzeć Poznań w czasie jego olbrzymiego rozkwitu powojennego i przenieść się w czasy dobrobytu, pozwalającego ryzykować z łatwością wielkie sumy pieniężne na niepewne nawet przedsięwzięcia.

Wspomnienie to obejmuje krótki okres nakręcania jednego z polskich filmów, który po kilkakrotnem wyświetleniu na ekranach, przepadł gdzieś bez wieści, jak sen.

Film nosił tytuł „Bartek Zwycięzca". Treść i tendencja filmu, osnutego na tle noweli Sienkiewicza, pozwala łatwo odgadnąć, dlaczego właśnie w Poznaniu nakręcono go i dlaczego znalazł tam finansujący go kapitał. Rok, w którym film wspomniany był realizowany, był czasem „Szkół Filmowych" i innych bluffów, których setki istniały nietylko na terenie Polski, ale całej Europy.

Nie ryzykując jakiegokolwiek sądu odnośnie do przytoczonych poniżej faktów notuję je tylko, jako coś niezwykłego.

* * *

Mniej więcej w połowie dawnej ulicy Kantaka w Poznaniu znajduje się szklanny baldachim, umieszczony nad jedną z bram. Napis mówi, że to brama, prowadząca do kina. Mijam sień, którą odgrodzono drzwiami i wojłokową kotarą od drewnianej scenki kabaretowej pachnącej pudrem i perfumami. Jestem na podwórzu otoczonem z czterech stron wysokiemi domami. Teraz mogę łatwo ukrytemi z boku schodami, wspiąć się na pierwsze piętro do małego przedpokoju. Na drzwiach widnieje szyldzik: Szkoła Filmowa.

W korytarzu poznaję ładną dziewczynę, która siedzi na stole, wymachując rytmicznie foremnemi nogami. Ta panienka nie została nigdy gwiazdą filmową pomimo, że przesiadywała godzinami w przedpokoju sławy. W rok po tem spotkaniu była ona modelką.

W chwili kiedy rozmawiam z adeptką sztuki filmowej, z pokoju obok wychodzi niski jegomość. Mówi:

— Nazywam się Iks.

Jestem wzruszony poznaniem sławnego reżysera i dyrektora szkoły filmowej.

— Proszę pana — ciągnie dalej Iks — najpierw w szkole mojej statyści przejdą kurs gry filmowej, następnie rozpocznę z niemi nakręcanie filmu. Będzie to jeden z największych filmów! Grać będzie wojsko, które obiecało swą pomoc, teren zdjęć to poznańskie. Wszyscy tu zrobią nam na rękę... Bank Eksportowy finansuje nas.

Od czasu tego poznania upłynęło parę tygodni. Nie wiem co gnało mnie do atelier Iksa. Prawdopodobnie była to magiczna siła słowa „film", — i chęć poznania kina do głębi. Tem samem zresztą, taką samą pociągającą i fascynującą tajemnicą był swego czasu i teatr, do którego zajrzałem od tyłu i zbliska poznałem jego maszynerję.

Któregoś dnia zamknąłem za sobą drzwi atelier pana Iksa i znalazłem się między szeregami uczniów szkoły filmowej, którzy wyprawiali najdziwniejsze historje, całując się często pod okiem reżysera, wtajemniczającego ich w arkana erotyki filmowej.

Iks wykłada coś ważnego i ma zafrasowaną minę. Namyśla się wreszcie w ciszę sali padają ważkie słowa:

— Potrzeba mi dwóch Turków...

Iks rozgląda się po obecnych. Jego wzrok pada na mnie, potem na jakiegoś brunecika o smagłej cerze.

— A możeby tak panowie — zwraca się do nas...

— Dobrze, ale ja... — usiłuję się sprzeciwić...

— To „ale" jest mało ważne. Pan ma doskonałą twarz i pan się wogóle nadaje na „Turka". To nic nie szkodzi, że pan nie umie grać przed objektywem. To żadna sztuka. Nauczy się pan tego prędko. Za każdy występ dobre honorarjum, jedzenie, droga, noclegi zapłacone. No więc?...

Namyślam się chwilę. Jednak smak przygody decyduje. Zgadzam się. Drugim „Turkiem" zostaje przystojny brunecik, który wraz ze mną ma brutalnie uwodzić Magdę, żonę Bartkową.

Terminy pierwszych zdjęć nowego polskiego filmu zbliżają się. Reżyser Iks jest podniecony. Zapowiada zdjęcia próbne.

— Dziś popołudniu zrobimy pierwsze zdjęcia w plenerze. Proszę, by wszyscy byli o piątej na Sołaczu przy przystanku tramwajowym.

Opuszczam szkołę, żegnany nieprzyjaznemi spojrzeniami ludzi, którzy zazdroszczą mi mojego szybkiego engagement, bez uprzedniego wpłacenia dość dużych kwot za odbycie kursu „gry filmowej".

Tak zdecydował się mój udział w charakterze odtwórcy małych ról w kilku epizodach w filmie „Bartek Zwycięzca".

* * *

Ciekawość zwycięża. O godzinie piątej znajduję się na wyznaczonem przez Iksa miejscu. Każdy tramwaj wyrzuca na przystanku po kilku „artystów". Wreszcie gromada wyrusza ku zacisznym zakątkom parku sołackiego, ciekawa, jak odbędzie się to „filmowanie".

— Uwaga, zaczynamy...

Naprędce szykuje się taka sobie scenka. Operator nastawia aparat. Kilka obrotów korby kończy stek wymysłów.

...z pokoju obok wychodzi niski jegomość...



— Pan jest idjota! Jak się wogóle dziwię, że pana dawno nie usunąłem z mojej szkoły...

— Ja to rozumiem... — odpowiada zmaltretowany amant. — Teraz jestem matołek, ale kiedy płaciłem — rokowałem nadzieje...

Piekło trwa w najlepsze.

Rezygnuję z wysłuchiwania popisu krasomówstwa. Zamieniam porozumiewawcze spojrzenia z pewną młodą i odważną osóbką. Po kilku chwilach ona, jej starsza siostra, pewien malarz i ja oddalamy się od podnieconej czeredy, w środku której tkwi operator. Po zjedzeniu czegoś w kawiarni parkowej wsiadamy do łódki i wyjeżdżamy na jezioro. Siedzę na rufie, podczas gdy siostry wiosłują. Gy łódź wykręca ukośnie, promienie słońca rysują pod przeźroczystym crepe-de-chine'm, zgrabny tors Hali ze wszystkiemi jego podniecającemi szczegółami.

Tą pikantną jazdą pod słońce rozpoczął się pierwszy dzień mego udziału w filmie. Wspomnienie Hali jest nierozerwalnie związane z „Bartkiem Zwycięzcą". Przez cały czas nakręcania tego filmu żyliśmy z nią w doskonałej, nieomal filmowej zgodzie. Straciłem ją z oczu w ostatnim dniu wyświetlania „Bartka" w jednym z kin poznańskich. Znikła bez zapowiedzi, tak jak przyszła, jakby była darem przygody, który wymyka się z rąk kiedy ta się kończy.

* * *

Wreszcie nadszedł czas pierwszych zdjęć „prawdziwych". Pamiętam, że któregoś dnia, wczesnym rankiem spotkaliśmy się całą czeredą na przedmieściu Poznania — na dworcu Tama Garbarska — Poznań.

Na stację tę wmaszerowały dwie kompanje wojska w mundurach pruskich z czasów wojny prusko-francuskiej. Oficerowie w pikielhałbach prowadzili szeregi. Wojsko obsadziło dworzec i miało asystować przy zdjęciach, biorąc w nich czynny udział.

Żołnierze mieli grać rolę odjeżdżających na fron bohaterów niemieckich. Na wagonach napisy: „Nach Paris" i inne nie podyktowane przez inspicjenta, ale zato mniej cenzuralne.

Pacykujemy się na świeżem powietrzu i ubieramy w biedermayerowskie „vatermörder" i wysokie szare cylindry. (Cylindry wcale nie były biedermayerowskie, a kołnierzyki normalne, podwójne, tylko rogami podniesione ku górze). Wyglądamy jak zmory w łachmanach, mamy być zaś wytworną i zamożną publicznością z tych romantycznych czasów.

Rozpoczynają się zdjęcia. Publiczność żegna owacyjnie wojsko, jadące na front. Wojsko cieszy się, siedząc w towarowych wagonach. Pociąg rusza.

Biedny Iks zapomniał na śmierć przed rozpoczęciem zdjęć, wyjaśnić żołnierzom, że podarki, które otrzymali od żegnającej ich publiczności, należy zachować do dalszych zdjęć, jak zbliżenia, poszczególne sceny itd. Po pierwszem zdjęciu, którego dokonał aparat zdaleka, okazało się, że żołnierze podaną im kiełbasę, chleb i inne produkty spożywcze zjedli podczas kiedy pociąg manewrował na zwrotnicach, wracając na peron.

* * *

Któregoś dnia wyjechaliśmy na wieś. Zagospodarowujemy się w pięknym majątku wielkopolskim pp. U. Ponieważ nasze zdjęcia mają się odbyć na końcu, więc tymczasem obserwujemy z zaciekawieniem inne sceny.

Rzecz dzieje się przed budynkiem szkoły wiejskiej. Bartek, troszcząc się za krzywdy swego dziecka w szkole niemieckiej, postanawia wsadzić do beczki pełnej wody otyłego nauczyciela Niemca. Iks, operator i inspicjent proponują wykonać tę scenę z całym realizmem.

Bartek przyjmuje wszystkie rady z ponurą miną i w chwilę potem w swej zgrzebnej koszuli galopuje w stronę „groźnego Prusaka", obserwującego oczyma pełnemi lęku atletyczną postać, zbliżającą się do niego.

Wreszcie nauczyciel unosi się w górę, poczem głową tonie w beczce, wypychając fontannę wody. Aparat kończy. Bartek odchodzi zadowolony z siebie, a biedny aktor powoli tonie. W tej chwili podbiega dwóch ludzi, przewraca beczkę i usiłuje wydobyć nauczyciela. Te zabiegi trwają przeraźliwie długo. Wreszcie uwieńczone zostają pomyślnym skutkiem i aktor ląduje, prychając na suchym gruncie, utopiony już „do połowy".

Przychodzi kolej na nas. Robimy niemieckich osadników, którzy bronią się rozpaczliwie przed atakiem zbuntowanych parobków wiejskich. Parobcy są, i zawsze pozostaną parobkami. Na to niema rady. Wprawdzie wytłumaczono im pokrótce, że chodzi tu tylko o zdjęcia i o coś „na niby", ale to niewiele pomaga. Pamiętając jeszcze niemieckie prześladowania tłuką nas kłonicami ile wlezie, pomimo, że operator skończył już fotografować i że reżyser drąc się na całe gardło — uspokaja ich.

Jeszcze wiele dni pamiętaliśmy te zdjęcia, przykładając na obolałe plecy kwaśne kompresy.

* * *

Jest letni, ciepły poranek. Zabieram mój karabin, który ma być częścią ekwipunku „Turka" podczas popołudniowych zdjęć. — Zmierzam ku dworcowi kolejowemu, gdzie czeka reszta ekspedycji.

Nasz pociąg jest gotów i można wsiadać. Jakiś chłopak pcha się pierwszy do wagonu, niosąc dwa olbrzymie kosze, do których zapakowano stos różnych przysmaków. Oto nasz prowiant na cały dzień na wsi. Jazda jak na majówkę. Nasz wagon jest zarezerwowany, więc zagospodarowujemy się szybko. Operator ze swym aparatem między nogami, robi wrażenie zaspanego. Za oknami przelatują zabudowania stacyjne. Wreszcie rozfalowane zielone pagórki oznajmiają, że miasto pozostało za nami.

Stacja Krzesiny. Wysiadamy. Są wakacje, więc zajmujemy pustą szkołę, robiąc z niej garderobę, ubieralnię, fryzjernię, wreszcie pokój restauracyjny.

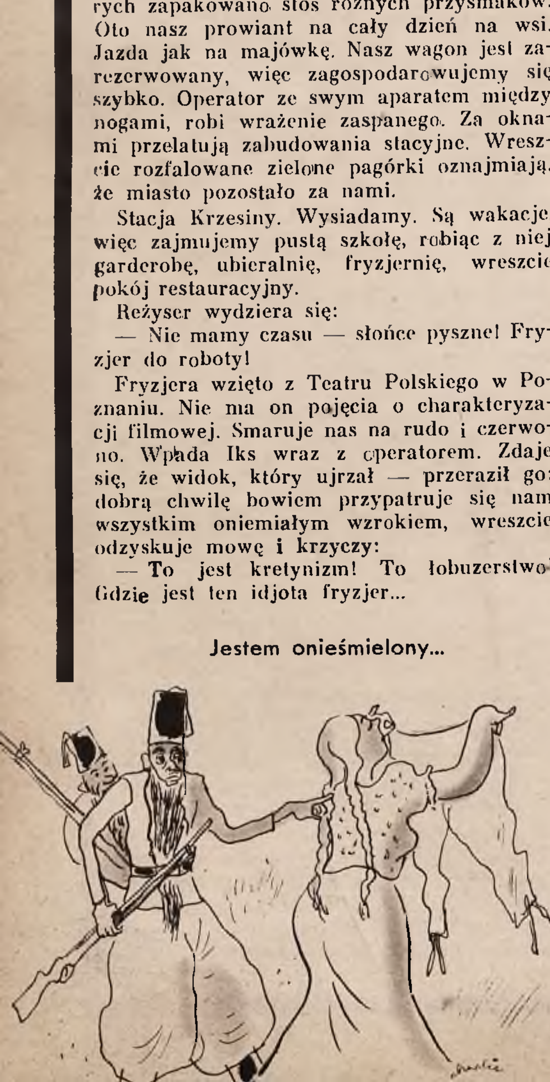
Reżyser wydziera się:

— Nie mamy czasu — słońce pyszne! Fryzjer do roboty!

Fryzjera wzięto z Teatru Polskiego w Poznaniu. Nie ma on pojęcia o charakteryzacji filmowej. Smaruje nas na rudo i czerwono. Wpada Iks wraz z operatorem. Zdaje się, że widok, który ujrzał — przeraził go: dobrą chwilę bowiem przypatruje się nam wszystkim oniemiałym wzrokiem, wreszcie odzyskuje mowę i krzyczy:

— To jest kretynizm! To łobuzerstwo! Gdzie jest ten idjota fryzjer...

Jestem onieśmielony...



Podchodzi obrażony mistrz.

— Panie, jak pan śmiał twierdzić, że pan kiedykolwiek pracował w filmie? Czy pan wie, jak będą wyglądać ci ludzie na taśmie?

Malujemy się na nowo. Wyglądamy jak upiory, które lumpowały się przez całą noc. Wreszcie gotowi już, zmierzamy w kierunku podwórza, na którem mają być dokonywane zdjęcia wewnątrz sklęconej naprędce z dwóch dykt — dekoracji.

Mijają godziny. Do głównych ról zaangażowano aktorów teatralnych, którzy snują się tam i sam. Rolę Bartka powierzono człowiekowi, nie mającemu z teatrem i filmem nic wspólnego, mianowicie sławnemu olbrzymowi, znanemu zapaśnikowi Pytlasińskiemu, nauczycielowi Zbyszka Cyganiewicza, obecnego mistrza świata. Człowiek ten rzeczywiście świetnie nadawał się na odtwórcę wymienionej roli, jeżeli się zważy jego warunki zewnętrzne. Był to chłop co się zowie. Poprostu góra. I ja miałem z nim walczyć o Magdę! Gdy go zobaczyłem przeszły mnie ciarki. Pomyślałem sobie: Taki, żeby nawet nie chciał zrobić krzywdy, może głaszcząc naprzykład czule — stawy ponaciągać i zedrzeć skórę... W pierwszej chwili chciałem uciec.

Teraz oto siedzi Pytlasiński usmarowany na polskiego chłopa i udaje „wysmarowanego". Magda nie umie być niczem innem, jak zrozpaczoną i elegancko zirytowaną hrabiną, krzątającą się wkoło pijanej góry — Bartka. Ta para jest świetna.

Wreszcie operator przestaje kręcić i opiera się leniwie o statyw, wpatrując się z uporem w nabrzmiałą z irytacji twarz Iksa. Przenoszą się do szkoły i zabieram się do jedzenia.

Podchodzi fryzjer, wyjmując zegarek.

— Już czas ucharakteryzować się. Pana zdjęcie za pół godziny...

Siadam, a moją twarz zaczynają smarować na rudo i sino. W dziesięć minut jestem gotów i wyglądam jak nadgniły Mr. Hyde. Wychodzę na podwórze dumny ze swej charakteryzacji i kostjumu, i widzę, jak w ciasnej dekoracji Magda usiłuje położyć do minjaturowego łóżeczka swego pijanego męża. Scena kończy się. Iks ciężko sapie. Naraz jego wzrok pada w moim kierunku. Iks głupieje. Pyta się:

— Kto to jest?...

— To ja — odpowiadam. — „Turek"...

— Coś pan zrobił z twarzą?

— To fryzjer mnie tak ubrał.

— Przecież pan wygląda jak tuman.

W myśli przyznaję Iksowi rację. Jestem ubrany w szerokie pantalony, żółte buty, ceratowe czarne cholewki, obcisły mundur granatowy i tureckie kepi. Guziki na mundurze namalowane kredą, mundur niestarannie zaszyty.

Iks wściekły, spocony idzie wraz ze mną do fryzjera. Wymyśla mu, nie oszczędzając rodziny, i widzi ze zgrozą, że mój towarzysz wygląda jeszcze gorzej. Nadomiar nieszczęścia okazuje się, że fryzjer nie zabrał odpowiednich bród. Jest tam jakaś jedna czarna i jedna ruda, sięgająca pasa. Mnie dostaje się ruda, której koniec przytrzymuję paskiem, aby mi nie przeszkadzała podczas walki. — W przebraniu nie przypominam zupełnie groźnego „Turkosa" z snu Bartkowego, który zawziął się na jego Magdę.

Spoglądając do lustra, buntuję się przeciwko tej operetce. Iks jednak jest zachwycony i twierdzi, że nigdy nie widział takiego „Turka", w co mu łatwo wierzę. Ostatecznie wychodzimy na teren zdjęć. Wszystko już przygotowane. Bierzemy nasze karabiny i stajemy na pozycji. Iks przy aparacie krzyczy:

— Proszę rozpoczynać!...

Sytuacja taka: Magda wiesza bieliznę w małym ogródku, odwrócona tyłem do nas, my zaś zza płotu przez stertę chrustu mamy urządzić ten erotyczny wypad.

Rozpoczynamy. Przedzieramy się obciążeni karabinami przez płot i chrust, skaczemy do ogródka i skradamy się ku Magdzie. Im bardziej zbliżam się ku tej kobiecinie, tem bardziej jestem onieśmielony, a moja przewidziana w scenarjuszu brutalność znika. — Przytem bawi mnie to, że Magda niby nie wie, że mamy ją napaść. Gdy jestem już blisko, niemal pieszczotliwie dotykam ramion aktorki i proszę ją ukradkiem, by sama dobrowolnie położyła się na ziemi. Mój towarzysz przygląda się wszystkiemu, stojąc obok.

Reżyser jest siny. Reszta zebranego audytorjum za aparatem wyje ze śmiechu. Drugi „Turkos" proponuje mi cicho, aby uratować sytuację i jednem uderzeniem zwalić Magdę na ziemię. Iks drze się w naszym kierunku:

— Czyś pan, do stu djabłów, nigdy nie uwodził kobiety?

—W plenerze nigdy... — odpowiadam.

Ostatecznie wracamy na miejscu, próba rozpoczyna się jeszcze raz. Jestem wściekły z powodu uwagi Iksa i przedstawienia, jakie dałem widzom za aparatem. Postanawiam zemścić się na Magdzie. Rzucam się z całą furją na nią. Magda pchnięta pada na ziemię z głuchym jękiem, patrząc mi w oczy błagalnie z wyrazem niemej prośby o litość. Nie widzę nic — i przy pomocy mego towarzysza rozprawiam się z nią z brutalną bezwzględnością.

Nareszcie Iks jest zachwycony. Magda ledwie zipie. Wracamy po raz trzeci na swe stanowiska. Widzę jak Iks przykłada tubę do ust, operator zaś kładzie rękę na korbie aparatu.

Biegniemy jak huragan. Magda jest przygłoczona przez nas do ziemi. W tym momencie nadbiega Bartek i rzuca się na nas. W tej sekundzie zakreślam w powietrzu łuk i wpadam do cuchnącej gnojówki, znajdującej się o parę metrów od pola walki. Wściekły wydostaję się z bajora i całym ciężarem woniejącego ciała walę się na Bartka. Ten odpycha mnie z całych sił, robiąc okropną minę. Teraz leżę pod płotem. Nie zauważyłem, że upadając, owinąłem się w jakiś porzucony drut kolczasty. Tak uzbrojony, po raz trzeci atakuję atletę Pytlasińskiego.

Kłuty przez kolce mego drutu w nagie ramiona, jęczy:

— Jeżeli w tej chwili nie zejdziesz ze mnie, to nie pójdziemy nigdy na popijawę...

To nie skutkuje. Pamiętam okropny fetor gnojówki i mszczę się teraz. Zresztą nie chcę, aby Iks powiedział mi znowu coś niemiłego. Wreszcie aparat przestaje terkotać, scena skończona.

Ja usmarowany po szyję, zziajany, z podartemi pantalonami, z pod których wystają gołe łydki, z odklejoną brodą. Bartek pokaleczony, ociera pot z czoła. Drugi „Turkos", rozciągnięty na ziemi, nie może się podnieść.

Magda, która podczas całej tej walki znajdowała się przeważnie pod nami, jest niemal wkopana w ziemię, robiąc wrażenie płaskiej odbitki fotograficznej naturalnej wielkości, niż tej ładnej kobiety, która jeszcze dziś rano w wytwornym kostjumie, wsiadała do pociągu. Złamanym głosem żali się:

— Reżyserze, niema mowy, abym mogła jeszcze dziś grać...

* * *

Zdjęcia na Bramie Warszawskiej, mające zilustrować Powstanie Grudniowe w Poznaniu i późniejsza premjera tego filmu w jednem z kin poznańskich, to ostatnie etapy przygody, jaką było nakręcanie „Bartka Zwycięzcy".

Dopiero kiedy oglądałem na ekranie gotowy film, miałem możność przekonać się, jak okropnie wyszły na taśmie te wszystkie nieudolne próby stworzenia wielkiego, epokowego dzieła.

Wszystkie niedociągnięcia w dekoracji, kostjumach, fotografji, reżyserji, scenarjuszu wyszły jaskrawo, powodując u mnie, i z pewnością u innych rumieniec wstydu i te same siódme poty, które uderzały na mnie przy zdobywaniu Bramy Warszawskiej podczas Grudniowego Powstania, w lipcowym upale.

J. M. B.

NA PLAŻY...

Fot. dr. P. Wolff



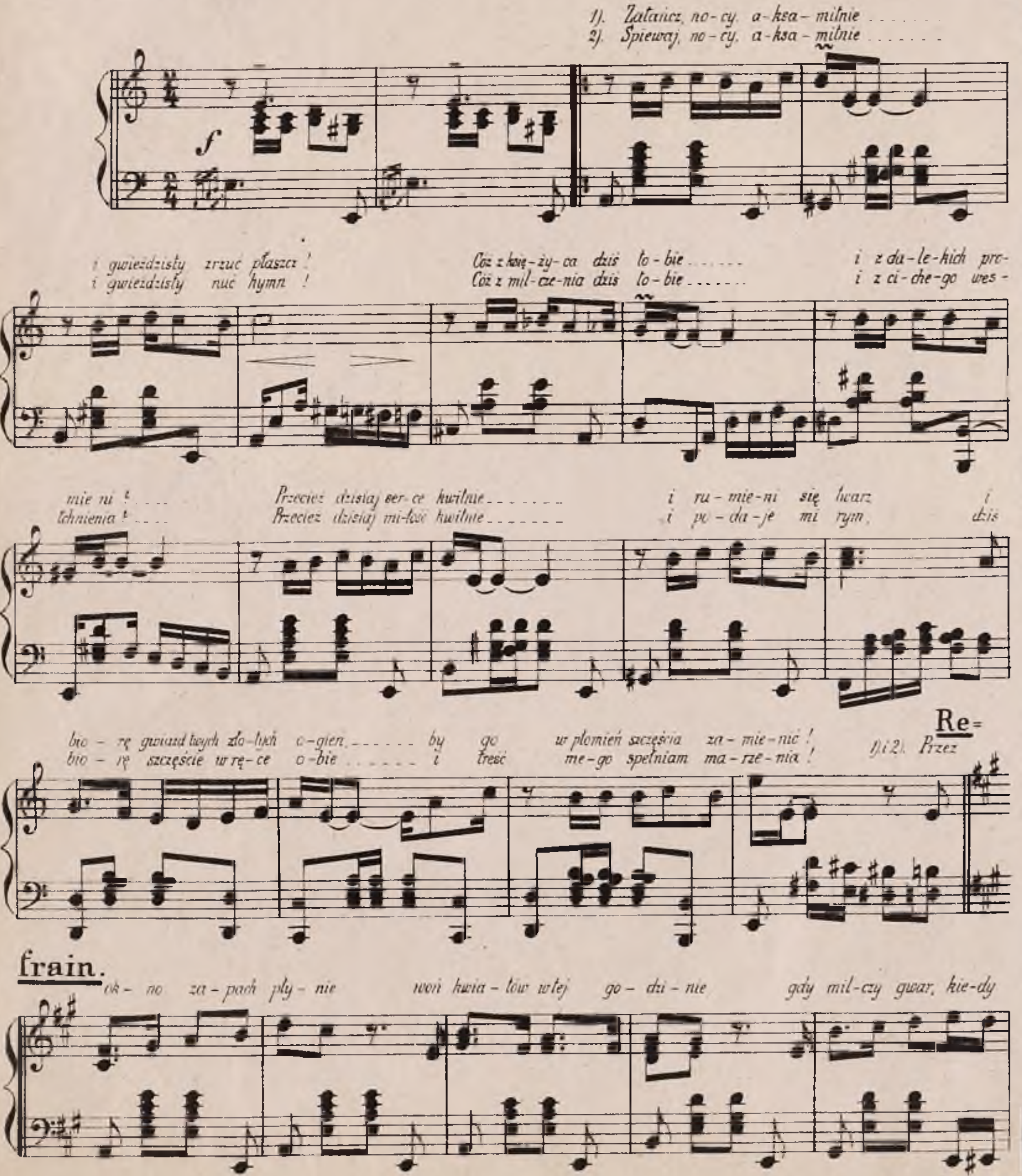
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

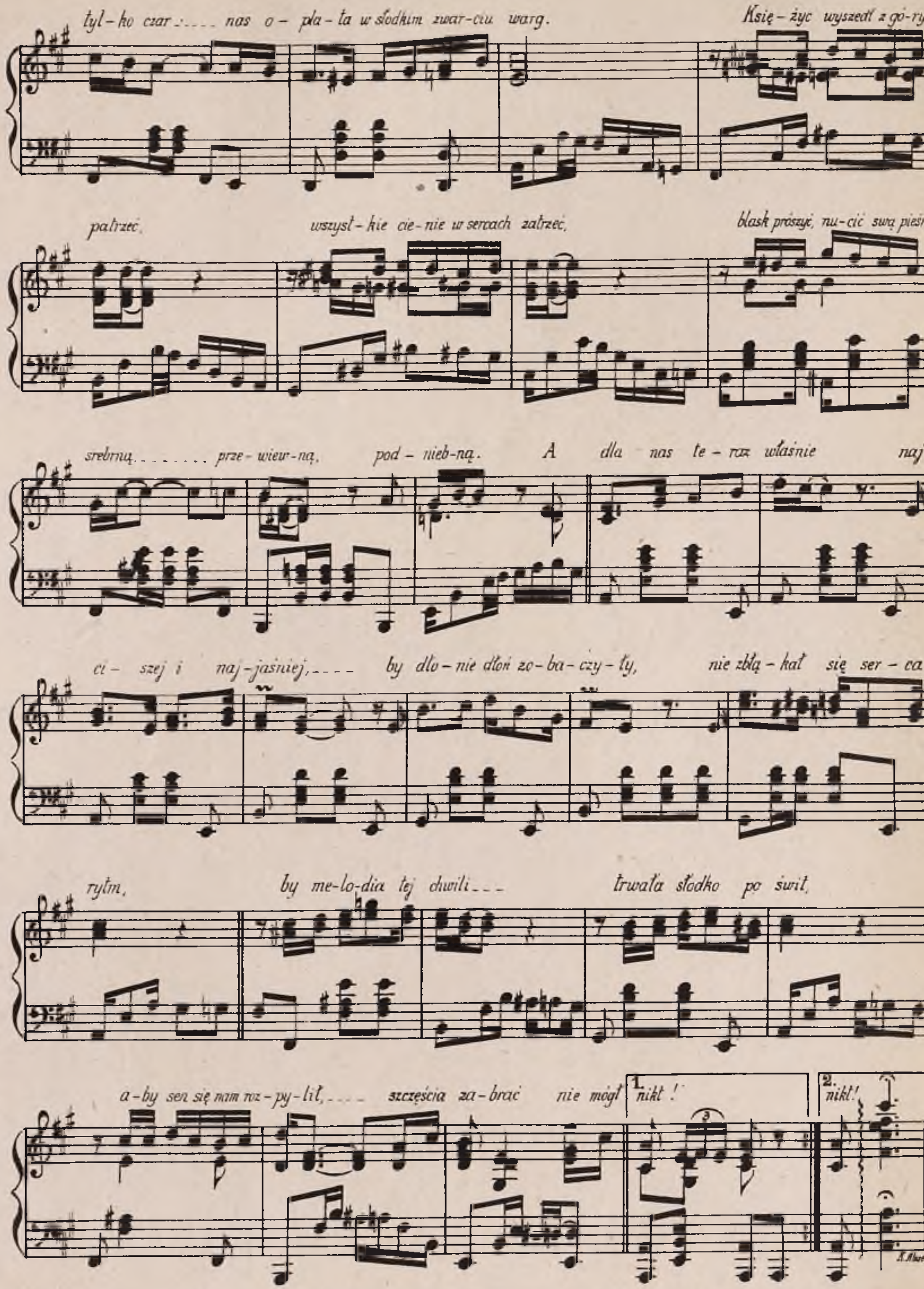
NASZA NOC...

TANGO

Słowa:
WITOLD ZECHENTER

Muzyka:
STANISŁAW LIPSKI





WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

ARTUR GROTTGER



WSPOMNIENIE

F. M. AREN

PRZEŁOŻYŁ WITOLD RYBCZYŃSKI

Bo w świecie ducha — niema pożegnania.

3-ci ODCINEK.

Na pierwszem piętrze mieściły się przytulne sypialnie domowników — wśród nich pełen prostoty pokoiczek Miethy — a na drugiem gościnne pokoje z wykuszami, w których ja i Szwedka Riecken, jedna po drugiej, mieszkałyśmy po tygodniu, zanim obie nie opuściłyśmy miasta, prawdopodobnie na zawsze.

Na następnej karcie znajdowała się fotografja Riecken, poważnej, zamkniętej w sobie dziewczyny, o bladej twarzy, bujnych włosach i o spojrzeniu pełnem melancholji. Była moją szczerą, o wiele starszą przyjaciółką. Kochałyśmy się, lecz wiecznie byłyśmy ze sobą na wojennej stopie. Z powodu religji, polityki i z powodu... Miethy. Ja wynosiłam pod niebiosy Najświętszą Pannę, ona Karola XII, na którego byłam okropnie zagniewana, że mieszał się w sprawy polskie. Że czynił to jako przyjaciel, mało mię obchodziło. Ignorowałam wyniośle przyczyny, które go do tego skłaniały. Wiem tylko, że w naszych zabawnych sprzeczkach o prawo i wolność Polski wychodziłam zawsze zwycięsko, a świadomość tego wbijała mię w dumę.

To naturalnie nie przeszkadzało nam w chwilę potem zagłębiać się w Tegnerze[3]) i wraz z Ingeborgą i Friethofem lub z Axelem i Marją bujać w przestworzach nordyckiej poezji.

Nie łatwo jednak godziłyśmy się, gdy Miethe jednej lub drugiej większą okazywała sympatję lub też do którejś z nas obszerniejszy list napisała — to była sprawa trudniejsza do załagodzenia.

Grottger przysłuchiwał się z dużem, niesłabnącem azinteresowaniem i — nie wiem, jak się to stało — gdy ze wspomnianej szuflady została wydobyta korespondencja Miethy. Zagłębiliśmy się w czytaniu poufnych listów, dziecinnych i poważnych zarazem, — tchnących świeżością i młodzieńczo swawolnych, pełnych smętku i radości życia, płynących z duszy niemieckiego dziewczęcia, odczuwającego jasno i głęboko.

— Czy mógłbym prosić o pożyczenie tych listów i fotografij? Muszę w domu je przestudjować i odświeżyć sie niemi. Z wszystkiego człek się czegoś uczy, a to jest w swym rodzaju skarb, tak trudno dostępny dla młodego człowieka.

Uczułam się szczęśliwą; a gdy brał te listy i fotografje — przypadkowo bez świadków — doznałam wrażenia, że między nami zawiązuje się jakaś nić osobliwa, jako że z temi pamiątkami zagarniał część mego wewnętrznego życia. A nikt o tem nie wiedział, tylko on i ja. W chwilę potem zaproszono nas na herbatę.

Przy stole potoczyła się rozmowa o północnych Niemczech; lecz za jakiemś porozumieniem imię Miethy nie zostało wymówione. — Opowiadałam o moich wrażeniach, kiedy to wstąpiłam w wąskie schludne uliczki Altony, w całe to spokojne regularne niemieckie życie, którego głównym ośrodkiem jest rodzina. Dokoła niej obraca się w szerokich, rozległych kręgach zewnętrzny świat, o którym zasięga się tylko wiadomości, ale którego nie dopuszcza się do własnego życia. Mówiłam, jak to ludzie północy o zrównoważonym, poważnym temperamencie wydają się z początku dziecięciu południa zimni i obojętni, jak jednak ich serca i charakter są doskonałe, jak swojsko i dobrze czuje się wśród nich, jak w obcowaniu z nimi kształtują się umysł i serce, jak wszystkie te rodzinne gniazda żyją zdala od wielkiego i małego handlu, niby poza światem, jak z początku odniosłem wrażenie, że zesłano mnie na wygnanie, dopóki pewnego dnia nie wyprowadzono mnie na przechadzkę w celu zwiedzenia miasta.

Szliśmy przez wiele ulic szerokich i wąskich, krętych i ciasnych z pięknemi spiczastemi domami. Niektóre uliczki były tak posępne, iż lęk mię zaczął ogarniać, gdy wtem, na końcu jednej z nich, rozwinęła się przed nami wstęga Łaby i port hamburski, z tysiącem masztów, okrętów, parowców i żaglowców, począwszy od olbrzymich transportowców amerykańskich, do najmniejszych bark kupieckich. Kanały, wpełzające pomiędzy dziwaczne stare domy i wielkie magazyny, oraz — jak okiem sięgnąć — łodzie, flagi, barwy wszystkich krajów świata, marynarze, ruch, zgiełk... oniemiałam i stanęłam jak wryta. Miasto! W głębi wieże, wznoszące się ku niebu, a w dole płaski, na horyzoncie zlekka pofałdowany kraj, przez który potężna Łaba toczy swe brudnoszare wody.

Nie koniec na tem. Droga nasza prowadziła dalej, ale już nie przez stare, wąskie, dziwaczne holenderskie uliczki. Objęły nas rozległe place, otoczone wysokiemi, pięknemi gmachami. Przed nami spokojnie i z godnością rozpościerały się tak zwane skwery. Na koniec zahuczało koło nas skłębione życie olbrzymiego, handlowego miasta w najbardziej ożywionej dzielnicy, i skręciliśmy z Nowego Wału na Jungfernstieg. Ogromny basen rzeczny o miłej błękitnej wodzie — w samym środku ludnego miasta — otoczony międzynarodowemi hotelami i pałacami bogaczy, przedzielony mostem; a wprost za nim na zachodniem niebie olbrzymie czarne skrzydła potwornego wiatraka... był to zaprawdę widok imponujący.

Kiedy pewnego razu jedna z hamburskich miljonerek przyjechała po mnie, by mię zawieźć do swego pałacu i kiedy czarne rumaki w bogatej uprzęży ryły ziemię, a ja rzuciłam się na miękki jedwab poduszek — zdawało mi się, że mię, jak w bajce, porwano w świat zaczarowany. Piękna pani u mego boku, okryta szeleszczącym jedwabiem, ciężkim aksamitem i bogatemi koronkami, wyglądała na istotę z wyższego świata. Każdy fałd jej sukni wydawał woń kosztowną. Jej szarozielone oczy lśniły, jak szmaragdy i brylanty na jej rękach. Miała młodą twarz i czarne, jak kruk, włosy. Ujmująco uprzejma pozyskała natychmiast moje serce i nawzajem ofiarowała mi swoje.

Powóz zatrzymał się przed jednym z tych świetnych pałaców dzielnicy Alster, która imponuje swemi zwier

[3]) Poeta szwedzki (1782—1846) przyp. tł.

95

ciadlanemi szybami. Lokaj w eleganckiej liberji zbiegł po szarych kamiennych schodach, by otworzyć masywne skrzydło bogato rzeźbionej bramy, poza którą przyjął nas westybul, wykładany marmurem, z olbrzymim gazowym świecznikiem. — Stanęliśmy przed wspaniałą ścianą ze szkła mlecznego, ujętą w ciężką rzeźbę z drzewa. Jedno pociśnięcie guzika z bronzu — ściana się otwiera, i otacza nas najrozkoszniejszy hall, jasno oświetlony, mile ogrzany, strojny w kwiaty, dywany i zwierciadła, sięgające stropu. Zgrabna pokojowa oczekuje swej pani, by jej towarzyszyć do prywatnych apartamentów na drugiem piętrze i być pomocną w zmianie toalety, gdy tymczasem jakaś miła blondyna czyni mi honory domu i, jak tylko zdjęłam wierzchnie okrycie, prowadzi przez szereg pokoi.

Oto otwiera się przed nami bogata komnata, cała w perską materję spowita, za nią ujmująca w ciemnym tonie trzymana bibljoteka, dalej zwyczajny salon do przyjęć, potem zachwycający buduar o blado-niebieskiem obiciu z wgłębioną niszą, z basenem i tryskającą fontanną, z bogato inkrustowanemi meblami i przepysznym różowym dywanem.

Schody, pokryte czerwonem suknem, prowadzą do westybulu pierwszego piętra i kończą się wysokiemi, ciężkiemi, suto rzeźbionemi drzwiami z dębowego drzewa, wiodącemi do szeregu jasnych komnat o białych, złoconych sztukaterjach i malowidłach w stylu Ludwika XIV aż do ciemnej jedwabnej kotary, za którą znajduje się zaciszna jadalnia z tapetami wyciskanemi w skórze, ozdobiona rzeźbami i draperjami. Czerwony żar, migocący w wspaniałym marmurowym kominku, miłem promieniuje ciepłem. Wspaniała lampa z bronzu i kryształu rzuca łagodne światło poprzez przepyszną alabastrową umbrę, a kusząco zastawiony stół z podziwu godnem bogactwem srebra, szkła i kwiatów, z pięknym serwisem i lśniącem adamaszkowem nakryciem raz jeszcze świadczy o blasku i przepychu domu. Przy ścianie rozłożono rzeźbione pulpity, zastawione najwyszukańszemi łakociami i winami; w rogu lokaj oczekuje skinienia.

Kiedy na to wszystko z zachwytem patrzyłam, poczęłam rozumieć znaczenie bogatego domu kupieckiego i odczuwać siły i wielkość republikańskiego handlowego miasta.

Wtem weszła piękna pani domu w ciemnym jadwabiu, a za nią zjawił się chwiejnym krokiem mały okrągły pan z silnie uwydatniającą się tuszą, o miedzianej twarzy, o farbowanej brodzie, o typowym nosie, podobnym do kartofla, z pulchnemi rękami, przepisową peruką i bardzo szerokiemi barami.

— Ach! Jaka szkoda! — zawołał Grottger.

— Pewnie, że szkoda — podchwyciłam — był to szef firmy, mąż pięknej pani.

III.

Tak przeszedł wieczór. Nawet nie spostrzegliśmy, jak herbata została wypita. Grottger czynił uwagi nad światem miljonerów, którego przepychem moja matka mogła zachwycać się bez wytchnienia. Świat ten i mnie przypadał do smaku, lecz sam przez się nie mógł mię zadowolić. Ostatecznie cóż przyjdzie ze złoconych krzeseł i puszystych dywanów, jeśli brak idealnego pierwiastku, a choćby zwyczajnego uczucia, jeśli nie dostaje inteligencji w szerszem tego słowa znaczeniu oraz artystycznego zmysłu? Nawet najdoskonalszy komfort staje się monotonny, jeśli nie dostarcza oku widoku, urozmaiconego dziełami sztuki.

Mimo woli czyniłam tego rodzaju uwagi. Chociaż bowiem wielki świat hamburski jest zmaterjalizowany, inne klasy północno-niemieckiego społeczeństwa żyją głębszem życiem duchowem i posiadają zrozumienie dla sztuki, co — gdy się zważy me wrodzone zamiłowania — nie pozostało na mnie bez poważnego wpływu. A teraz, teraz miałam przed sobą artystę, którego mi los spotkać pozwolił, uważałam więc za rzecz nie do darowania rozmowę o tylu innych sprawach, a nie o sztuce.

— Dla artysty nie zawsze jest rzeczą nadzwyczaj zajmującą rozprawiać o swojej sztuce — rzekł Grottger — sztukę posiada się dla siebie i uprawia w ukryciu. Natomiast w życiu, wśród ludzi, jest się człowiekiem, i każdy temat może nam przynieść pożytek.

Jedna z pań dorzuciła garść uwag o życiu, a w szczególności o życiu w stolicy, i zwrócono się do gościa z zapytaniem, jak spędza wieczory.

— W ostatnich czasach nader samotnie, najczęściej w domu z kredką i papierem. Wydarzenia polityczne w kraju zbyt głęboko mię wzruszają, i skoro straszne wieści dochodzą mię z Rosji, mimo woli wyrażam w kształtach, to nad czem serce boleje. Pod wpływem tych najczulszych uczuć i dla własnego ukojenia zaimprowizowałem niedawno parę obrazów. Niebawem ukażą się w „Kunstverein", gdyż moi przyjaciele zabrali mi je w tym celu bez mojej wiedzy. Jaką wartość posiadać mogą rysunki węglem (?) w obecnych czasach, gdy wszystko pnie się ku barwie? Zresztą zobaczymy. Na przyszły raz będę mógł coś więcej powiedzieć o mojej „Warszawie".

Począł się żegnać i obiecał przyjść raz jeszcze, by omówić sprawę nauki rysunku, a tymczasem radził mi pilnie zwiedzać galerję, znajdującą się w pałacu arcyksięcia Albrechta.

Naturalnie nie dałam sobie tego dwa razy powtarzać, i w następny czwartek znalazłam się w samotnej, widocznie mało uczęszczanej galerji obrazów.

Z rosnącem zainteresowaniem studjowałam różnych van Dycków, Rubensów, Michałów Aniołów i Rafaelów. Nie omieszkałam też skłonić mej towarzyszki, by zapytała kustosza, czy nie zna przypadkiem młodego malarza, nazwiskiem Artur Grottger.

Nietylko, że potwierdził, ale stał się bardziej uprzejmy, pokazywał najtajniejsze kartony, opowiadając o wielkich zdolnościach młodego artysty: jak to on często i dokładnie te rysunki studjuje.

Właściwie — myślałam — ten genjalny malarz powinien był przeczuć, że ja natychmiast, w najbliższy czwartek, usłucham jego rady i zjawię się tutaj, by mi osobiście służyć za przewodnika. Widocznie nie miał przeczucia lub poprostu nie chciał korzystać ze sposobności. Jednem słowem nie przyszedł.

Nadszedł marzec. Pewnego pięknego popołudnia pojechaliśmy do Neuwaldegg by powitać nadejście wiosny. Był już wieczór, kiedyśmy wrócili do domu. Niespokojna i nieznośna podczas całej wycieczki zeskoczyłam szybko z powozu i biegłam po cztery schody, zostawiając za sobą całą gromadę młodych kobiet i „generalstäblerów". Bez tchu wpadłam do przedpokoju — jakaś moc tajemna parła mię naprzód — nie dałam pokojowej przyjść do słowa, drzwi się otwarły, chart skoczył ku mnie... przede mną stał Grottger.

Bez słowa, promieniejąc z radości, podałam mu obie ręce. Poczułam instynktownie, że pomiędzy nim, a całem nadchodzącem towarzystwem istnieje głęboka przepaść i — nie zdając sobie sprawy z tego, co robię — zanim tłum gości zjawił się na górze, — skinęłam na artystę i pociągnęłam go do salonu.

Tym razem miał charta na smyczy, a nawet szpierutę, by ewentualnie przeszkodzić nieszczęśliwym wypadkom; przyprowadził go bowiem tylko na moją wyraźną prośbę. Był w codziennym narodowym stroju; a przyszedł dowiedzieć się, czy w piątek będę w domu (było to, zdaje się, we wtorek), gdyż chce mię rysować, by podczas tego wyjaśniać tajemnice sztuki i zasady rysunku, uważając taki sposób nauczania za najlepszy.

On mię będzie rysował! Zaledwie zdolna byłam to zrozumieć. Prawdziwy artysta zapragnął, bym mu pozowała. To było zbyt piękne, zbyt cudowne, zbyt zachwycające! Już nie stawiałam kroków, lecz unosiłam się w powietrzu. Rzuciłam kapelusz i płaszcz, gdzie popadło: na fortepian, na fotel, nie wiem gdzie zresztą, a gdy zbliżyłam się do stołu, ujrzałam na nim list od Miethy. Tego już było za wiele. Prosiłam młodego malarza, by usiadł i pozostał, ale wymawiał się, że musi odejść, że towarzystwo nie będzie chciało obejść się beze mnie, a wkońcu on sam, w codziennem ubraniu, w wysokich butach, z psem i szpierutą, nie przedstawia się przecież zbyt reprezentacyjnie.

W istocie każdy z „cesarsko-królewskich panów" stawał pokolei na progu, patrząc ze zdziwieniem na śmiałego Polaka, panie również nie mogły powstrzymać się od zaciekawionych spojrzeń; jednak jakieś dziwne oczarowanie powstrzymywało całe grono od zbliżenia się do nas i nikt nie miał odwagi ani niedyskrecji przerwać naszej ożywionej rozmowy.

Artysta przyniósł mi dzieła Mickiewicza i Malczewskiego, natomiast listy i fotografje zatrzymał do następnych odwiedzin i prosił, bym jeszcze ten oto dodała. *(ciąg dalszy nastąpi).*





Aby być PIĘKNĄ...



Na lewo: Kobieta, zanim sięgnie po krem i puder, nie może zapomnieć, że jej „make up" rozpoczyna się od kąpieli...

Fot. Imre von Santho.

Poniżej: Oto prawdziwa męczennica kosmetycznych zabiegów...



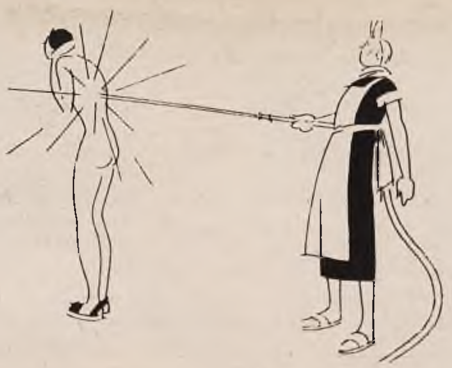
Jeszcze nie tak dawno temu kosmetykę identyfikowano z praktykami wiedzy tajemnej — odnoszono się do niej z podejrzliwą nieufnością, sądząc, że jest ona poprostu wymysłem szarlatanów. Tylko bardzo nikła, górna warstwa uprzywilejowanej społeczności kobiecej zajmowała się tą „wiedzą tajemną", której arkana nie zdradzało się nawet najlepszej przyjaciółce, pragnąc ukryć, że „coś takiego" jest wogóle komuś potrzebne do poprawienia błędów natury, lub podtrzymania zanikających z biegiem lat walorów piękności.

Dziś kosmetyka jest wśród najszerszych warstw kobiet tem samem, co codzienne mycie. Przestała być dawno luksusem, na który można sobie było pozwolić raz lub najwyżej dwa razy w miesiącu. Zawód kosmetyczki stał się bardzo popularny i umożliwiający utrzymanie wielu wykształconym i mądrym kobietom. Powstały liczne uczelnie, które z pomocą wszystkich środków nowoczesnej wiedzy szkolą przyszłe lekarki urody kobiecej. Biologja, djetetyka, nauka o leczniczych właściwościach roślin, chemja kosmetyczna — oto tylko niektóre działy wiedzy, stanowiące zasadnicze podstawy wykształcenia tych, które obrały sobie jako cel życia odpowiednie podkreślanie i konserwowanie piękna ciała kobiecego.



Rozpatrując bliżej dzisiejsze metody kosmetyczne, jakiemi posługuje się piękna pani samodzielnie u siebie w domu, trzeba wyraźnie zaznaczyć, że przy ostatnich „akordach" codziennego swego *make up* nie powinna ona zapominać o tem, co jest z zasady początkiem właściwie pojętych zabiegów kosmetycznych, a więc o codziennem, sta-





Na lewo: Zabiegi w instytucie piękności.

rannem... myciu. Na temat rozmiarów, w jakich woda może być stosowana jako „środek" kosmetyczny, wiele już dyskutowano i liczne sprzeczne zdania się tu ścierały, oparte częściowo na doświadczeniu naszych prababek, oraz wynikach ekspertyz z ostatnich czasów.

Jedno jest pewnem, że to, co dawniej uważano za szkodliwe dla cery, a więc częste zmywanie twarzy wodą — dziś uznawane jest jako zabieg bardzo pożądany, z tem tylko zastrzeżeniem, by woda była jaknajbardziej zimną. W Ameryce, gdzie kosmetyka zaczęła wcześniej niż gdzieindziej odgrywać zasadniczą rolę w życiu kobiet, stosuje się oddawna nacieranie twarzy kawałkami sterylizowanego lodu, co powoduje żywszy pod skórą obieg krwi i co zatem idzie szybszą regenerację obumierających tkanek.

Podany przykład wiąże się ściśle z analogicznymi zabiegami w odniesieniu do innych części ciała, z tą jednak zmianą, że zamiast lodu w grę wchodzi zimny tusz, lub wkońcu samo nacieranie skóry partjami z pomocą wilgotnych rękawic frotte i innych podobnych przyborów kąpielowych. Jak ogólnie wiadomo, zimny tusz, stosowany codziennie rano, wpływa niezwykle dodatnio na samopoczucie, pobudza krew do szybkiego krążenia, przez co ciało staje się elastyczne i zdolne do pokonywania nawet znaczniejszych trudów fizycznych. Co zatem idzie i nastawienie psychiczne jednostki zmienia się w sensie dodatnim, a wszystko razem wpływa bezwątpienia na spotęgowanie się przejawów urody, dodaje jej nowego blasku i świetności.

Niestety organizm niektórych kobiet, wykazujący organiczne wady, reaguje ujemnie na powyższe zabiegi. W szczególności panie, oddające się forsownej pracy zawodowej, często chorują na niedomagania sercowe. Dla nich codzienny zimny tusz byłby samobójstwem, ponieważ zmusza serce do wytężonej akcji. Te jednostki muszą ograniczyć się właśnie do wspomnianego wyżej nacierania skóry wilgotnemi rękawicami lub ściereczkami, a czyniąc to codziennie z odpowiednią starannością mogą liczyć na analogiczny skutek, jak po użyciu codziennego zimnego tuszu.



Kobieta, rozpoczynająca dzień z nową świeżością organizmu, jest pełna radości życia i właśnie dlatego staje się piękną. Oto cała tajemnica. Z elastyczności jej ciała, ciepła jej krwi, pociągu do rzeczy pięknych rodzi się kolor jej skóry, blask jej oczu i puszystość jej włosów.

J. L.



Łopatki do nakładania kremu i rękawiczk do zakładania na noc...



Powyżej: Porowate rękawice do mycia i flakon soli kąpielowej...



Na lewo: Rękawiczka z gazy do mycia twarzy i druga frotte do kąpieli.



Oto mały komplet przyborów do maquillage'u.



Po kąpieli należy ciało natrzeć aż do rozgrzania...



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie VII.

Częstokroć powodem brzydkiego trzymania się, lub karykaturalnego chodu stają się osłabione mięśnie, które należy koniecznie wzmacniać zapomocą odpowiednich ćwiczeń gimnastycznych. Dzisiejsza lekcja nasza dotyczy właśnie wzmocnienia muskulatury nóg i brzucha, przyczem, jeśli chodzi o nogi, gimnastyka nasza będzie doskonałą letnią zaprawą dla narciarek. Pierwsza fotografja (na lewo) przedstawia właśnie pozycję, w której najlepiej ćwiczy się mięśnie ud, wyrzucając po kolei to prawą, to lewą nogę w bok, podczas gdy druga noga zgięta w kolanie stanowi oparcie dla całego ciała. Gimnastyka taka przypomina nam taniec kozacki z tą różnicą, że przy naszem ćwiczeniu możemy pomagać sobie rękami. Uwidoczniona na drugiej fotografji pozycja umożliwia nam ćwiczenie muskulatury brzucha, które odbywa się przez równomierne podnoszenie nóg z posadzki w górę, powolne rozsuwanie ich na boki, składanie razem i znowu powolne opuszczanie nadół na posadzkę. W tem ćwiczeniu rzeczą najważniejszą jest wyeliminowanie akcji wszystkich innych mięśni ciała za wyjątkiem tych, które umieszczone na brzuchu umożliwiają nam bez pomocy rąk podnoszenie w pozycji leżącej obydwóch nóg równocześnie do góry.

Ćwiczenie to jest może nieco męczące, ale niemniej bardzo pożyteczne.



Ćwiczenie, wyrabiające mięśnie ud.



Ćwiczenie, wzmacniające muskulaturę brzucha.

Łamigłówki mody męskiej.



Dziś już nie tylko nad morzem, ale i w górach widzi się w lecie coraz więcej białego koloru w męskich ubraniach...

kolor BIAŁY w różnych zestawieniach:

UBRANIE	KOSZULA i KRAWAT	KAPELUSZ	BUCIKI i POŃCZOCHY
Niebieska gładka marynarka sportowa. ● Białe spodnie.	Kremowa koszula. Krawat w kolorze cerise.	● Biały sportowy kapelusz filcowy.	● Fullbrogues białe z bronzowym. Pończochy w kolorze marynarki.
● Biała dwurzędówka z nakładanemi kieszeniami. ● Białe spodnie.	Koszula czerwona. ● Krawat biały w czerwone grochy.	● Biała płócienna czapka angielska.	● Buciki z białego zamszu. Białe pończochy.
● Biała sportowa marynarka z wzorem fishgret. Spodnie w kolorze rdzy.	● Koszula biało-bronzowa glencheck. Żółty krawat.	Kapelusz sportowy w kolorze białej kawy, z ciemno-bronzową wstążką.	● Białe halfbrogue z bronzowym obkładem. Pończochy białe, lub bronzowe.
● Biała jednorzędówka. Jasno-popielate spodnie.	Koszula niebieska. Krawat srebrno-popielaty w niebieskie paski.	Granatowy snapbrim, z jasno-popielatą wstążką.	● Białe halfbrogue z czarnym obkładem. Jasno-popielate pończochy.
Dwurzędowy zielony blazer. ● Białe spodnie (mogą mieć paski w kolorze blazera).	● Biała jedwabna koszula. Krawat zielony w jasne paski.	● Panama z zieloną wstążką.	● Białe kombinowane z bronzowym walk-overy. Pończochy zielone.



Moda na

Moda każdego sezonu — podobnie jak style architektoniczne — rodzi się na papierze. Aktualne impulsy, techniczne zdobycze w dziedzinie barwienia i tkania materjałów, wkońcu t. zw. „duch czasu" — to czynniki, które pobudzają fantazję rysowników i do pewnego stopnia wykreślają linję przewodnią ich pomysłowości. Powstają teki szkiców, projektów, luźnych notatek rysunkowych i szczegółowo opracowanych pomysłów, które stają się właściwym materjałem dla wielkich firm konkurencyjnych. Wielkie „maisony" mody paryskiej mają za zadanie przetransponować tę „papierową" modę w materjał, przyczem nie wszystkie pomysły rysowników znajdują zastosowanie. Wiele z nich w wykonaniu okazuje się bezwartościowemi, poprostu nie wytrzymują próby życia.

Ale te właśnie rysunki i szkice stanowią materjał, na którym krawcy opierać się muszą w tworzeniu swych kreacyj i z nich czerpią elementy nowego stylu mody, zestawiając z nich odpowiednie całości. Toteż dla przyszłych studjów kostjumologicznych, dotyczących naszej epoki, rysunki te stanowić będą najważniejsze źródła.

Na zdjęciach naszych widzimy interesujące zestawienia, zawierające w skrócie charakterystykę czterech głównych typów stroju kobiecego: sportowo-podróżnego, popołudniowego, wieczornego i plażowego. Zasadnicze wytyczne tegorocznej mody pokazane nam są tu tak w projektach i rysunkach, jak i na zrealizowanych modelach. Przyjrzyjmy się im bliżej.

Pierwsza sylwetka pokazuje nam komplet podróżny z angielskiej wełny w kolorze popielatym, ożywiony fantazyjną bluzką z jedwabiu drukowanego w różnobarwne motyle. Ten motyw deseniowy stał się w tym roku specjalnie modny, dzięki paryskiej firmie Schiaparelli, która lansowała go forsownie na swoich

Na lewo: Suknia wieczorowa – na niej płaszcz z wzorzystej organdi.
Wszystkie zdjęcia: Imre von Santho.

Poniżej: Model sukni popołudniowej z matowej krepy w odcieniu łososiowym.

TWORZY



papierze

wiosennych modelach. Motyle zastępują dziś kwiaty przy żakietach kostjumów i przy wieczornych gazowych sukniach, widzi się je na kapeluszach, haftowane w rogu chusteczki do nosa, drukowane na płótnach i jedwabiach „imprimé", wykonane ze skóry lub galalitu, jako klipsy i spięcia. W tym wypadku ich barwny rój na deseniu bluzki ożywia surowość sportowego ensemble'u. Duży kapelusz słomkowy, tej samej barwy co torebka i rękawiczki, dopełnia tej eleganckiej i praktycznej całości. Rysunek obok pokazuje nam szereg drobiazgów, stosownych do przedpołudniowych kompletów: oryginalną bluzkę-żakiecik z miękkiej skórki antylopowej z kołnierzem i ranwersami w odmiennym kolorze, pasek ozdobiony aplikacją o ludowych motywach, nowe modele sportowych torebek itp.

Na drugiem zdjęciu widzimy wytworny model sukni popołudniowej z matowej krepy, w delikatnym łososiowym odcieniu, uzupełniony dużym brązowym kapeluszem z płaską kokardą z „gros-grain" i tegoż koloru pantofelkami. Na szkicach widzimy pomysłowe dodatki do popołudniowych sukien i kompletów. Zwróćmy przedewszystkiem uwagę na oryginalny fason wysoko zabudowanych pantofelków, sięgających niemal do kostki, fason lansowany w Paryżu niemal od roku. Bardzo ładny jest również dwubarwny szalik, oraz fantazyjne rękawiczki, inkrustowane koronką, połączoną z ażurowym haftem.

Na fotografji charakteryzującej modę wieczorną, widzimy piękną tualetę w odcieniu pastelowym, ukazującą się w szerokiem wycięciu lekkiego płaszcza z organdi o kwiatowym deseniu; pęk barwnych kwiatów spina płaszcz w pasie. Rysunki obok są dowodem, że kwiaty stanowią niezbędne uzupełnienie wieczorowego stroju: nosi się je przy sukni, we włosach, w for-

Ciąg dalszy na str. 31-ej.



Na prawo: Komplet podróżny z angielskiej wełny, ożywiony jedwabną bluzką.

KREACJE

Poniżej: Komplet plażowy — na shorty narzucony płaszcz w szkocką kratę.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA CZEREŚNIOWA. 25 dkg czereśni rozgotowanych w litrze wody, przeciera się przez włosiane sito i zagotowuje ponownie. Łyżkę mąki ziemniaczanej rozkłóca się z troszką wody, zalewa tem gotującą się zupę, zagotowuje raz jeszcze i podaje ostudzoną z słodkiemi grzaneczkami. W miejsce mąki ziemniaczanej można zupę podbić szklanką śmietany z łyżeczką mąki pszennej lub też dwoma żółtkami, roztartemi w wazie. W ostatnim wypadku zupy się już nie zagotowuje z żółtkami.

RAGOUT Z SARNINY. Różne jarzyny (jak do rosołu) uciera się na tarlte, dodaje trochę papryki i smaży na drobno skrajanej słonince, poczem wkłada się pokrajaną w grubą kostkę, posoloną sarninę, dodaje liścia bobkowego, kilka ziarn jałowca i kaparów, smaży przez chwilę, a gdy się mięso zrumieni, podlewa się je troszką wody i dusi pod przykryciem do miękkości. Wkońcu poprósza się mąką dla zagęszczenia sosu i podprawia paru łyżkami śmietany. Makaron lub knedelki bułczane jako dodatek.

JAJA W SZLAFROKU. Kilka jaj ugotowanych na twardo obłupuje się i przekrawa wzdłuż. Z 1/4 litra mleka, 1 jaja, łyżki rumu, troszki soli i mąki ubija się lane ciasto, trochę gęściejsze, niż na naleśniki. W cieście tem macza się połówki jaj i smaży na rozpalonym, mieszanym tłuszczu. Podaje się gorące lub zimne z sałatą.

RIZOTTO Z MLECZKIEM CIELĘCEM. Filiżankę ryżu wymytego, następnie przelanego wrzącą wodą osącza się i zalawszy dwoma filiżankami gorącej wody, dusi się z łyżką masła i troszką soli. Do miękkiego, ale sypkiego ryżu dodaje się osobno z cebulką uduszone mleczko cielęce, pokrajane drobno, łyżkę parmezanu i troszkę duszonych pieczarek. Rizotto układa się na okrągłym półmisku w wieniec, do środka daje się jajecznicę z kilku jaj. Osobno w sosjerce podaje się sos pomidorowy.

MŁODA KAPUSTA Z ŚMIETANĄ. Główkę kapusty kraje się w ćwiartki i gotuje w słonej wodzie. Ugotowaną wyciska się z wody i kraje w makaron niezbyt drobno. Na łyżce masła smaży się posiekaną drobno cebulkę, wkłada kapustę i dusi przez chwilkę, mieszając, aby się nie przypaliła. Wkońcu podlewa się szklanką kwaśnej śmietany, rozmieszanej z łyżką mąki i łyżeczką cukru, dodaje szczyptę pieprzu i w razie potrzeby soli, zagotowuje i wydaje z nowemi ziemniaczkami. Jarzyna ta jest też doskonała na zimno z chlebem z masłem.

WĘGIERSKI PAPRYKARZ RYBNY. Z głowy, ości i innych odpadków rybnych wygotowuje się z tartą cebulą różną jarzynę i zieloną papryką tęgi rosół. Rybę lub drobniejsze rybki kraje się w małe kawałki, układa w rondlu, zalewa wygotowanym i przetartym przez sito rosołem, którego powinno być tylko tyle, aby ryba była przykryta, dodaje pokrajaną w paseczki, wygotowaną paprykę i startą na tarle cebulkę oraz soli troszkę i cukru szczyptę. Rybę gotować należy bardzo powoli na kraju blachy, aby się nie rozgotowała. Wkońcu wlewa się pół szklanki gęstej śmietany, roztrzepanej z łyżeczką mąki i zagotowuje raz jeszcze. Potrawę tę podaje się na głębokich talerzach. Obok umieszcza się łyżkę i widelec, jako nakrycie. Dodatek stanowi biały chleb lub bułka.

WIŚNIE LUB TRZEŚNIE W CIEŚCIE. Ubija się ciasto z 1 jaja i 1 żółtka, łyżki octu, szklanki mleka, szczypty soli i cukru oraz takiej ilości mąki, jakiej wymaga gęste ciasto, jak na lane kluski. Ubija się dość długo, aż się utworzą pęcherze na cieście. Wypłukane i dobrze obsuszone czereśnie lub wiśnie bierze się po trzy razem i trzymając za szypułki, czyli tz. ogonki, zanurza się w cieście i kładzie na rozpalonym tłuszczu, obsmażając z każdej strony. Wygodniej jest wiązać po trzy wiśnie razem i potem uchwycone na widelec maczać w cieście i obsmażać. Ułożone na półmisku, osypuje się suto cukrem miałkim, zmieszanym z cynamonem lub wanilją.

DŻEM Z TRUSKAWEK. Proporcja cukru do owocu jest: na **1 kg truskawek 60 dkg cukru**. Truskawki obrane i wypłukane, zimną przegotowaną wodą, obsusza się wyłożone jedną warstwą na przetak. Następnie daje się je do grubego rondla, stawia na kraju blachy, aż trochę soku puszczą, poczem przysuwa się je bliżej ognia i gotuje, mieszając przez 20 minut. Teraz wsypuje się cukier i gotuje razem, zbierając piany przez 15 minut. Wkońcu dodaje się łyżkę czystego alkoholu, miesza i gorące składa w słoje. Zawiązuje się zupełnie ostudzone, tj. na drugi dzień. Przed owiązaniem kładzie się na wierzchu dżemu krążek papieru, zwilżony z obu stron rumem. Przy wszystkich konserwach zaleca się absolutną czystość słoików. Po wymyciu i obsuszeniu wypłukanie słoików alkoholem jest bardzo celowe.

CHŁODNIK POMIDOROWY. Z ostudzonego, silnego rosołu zdejmuje się tłuszcz lub przecedza przez płótno. Na 4 filiżanki rosołu dodaje się dwie łyżki marmolady pomidorowej i 4 łyżki kwaśnej śmietany, szczyptę soli i cukru. Wszystko rozkłóca się miotełką od bicia piany i stawia na lodzie. Podaje się w filiżankach bez żadnych dodatków.

So. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Podajemy dziś fotografję bardzo praktycznego wynalazku, mianowicie uniwersalnej pokrywy na garczki kuchenne. Można ją zużytkować do naczyń o różnych wymiarach przez odejmowanie, lub dodawanie obręczy, z których ta pokrywa jest złożona. Znajdzie ona zastosowanie przedewszystkiem przy odgrzewaniu potraw, jak i przy gotowaniu na parze.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 27	Czerwiec — 30 dni
NIEDZIELA **27** Władysława	Chłodnik poziomkowy.Jaja w szlafroku. Kurczęta z rożna,wypełniane wewnątrz /pod skórą/ bułeczką z koperkiem.Sałata ruska.Strudel z czereśniami i wiśniami. Kolacja:Pieczeń cielęca z głąbikami.
PONIEDZ. **28** Leona p. † Wig.	Zupa z zielonego groszku z tartem ciastem.Faszerowana kalarepka.Ragoût z sarniny z makaronem.Kompot mieszany. Kolacja:Kalafior z masłem i bułeczką.
WTOREK **29** Piotra i Pawła	Zupa wiśniowa z grzaneczkami.Bukiet jarzynowy.Młoda gąska z nowemi ziemniaczkami i mizeją.Ciastka z poziomkowym kremem. Kolacja:Zimne kotleciki sarnie z zimnym ostrym sosem musztardowym.
ŚRODA **30** Emilji, Wsp. ś. P.	Zimny barszczyk zabielany z twardem jajem.Rizotto z mleczkiem cielęcem.Mostek cielęcy z nadzianką koprową.Wiśnie smażone w cieście. Kolacja:Jaja w szklance,rzodkiewka,ser.
	Lipiec
CZWARTEK **1** Teobalda op.	Rosół z jarzynkami lub chłodnik owocowy. Sztuka mięsa z sosem koprowym.Pieczeń sarnia z sosem porzeczkowym.Poziomki z śmietaną. Kolacja:Grzybki z młodemi ziemniaczkami.
PIĄTEK **2** Nawiedz NMP.	Krupnik na grzybach.Młoda kapusta w śmietanie z ziemniaczkami.Węgierski paprykarz rybny z bułką.Krem ryżowy z poziomkami. Kolacja:Kasza tatarczana lub krakowska z kefirem.
SOBOTA **3** Ireda, Anatola	Zupa "Julienne" z młodych jarzynek.Kapusta faszerowana.Befsztyki lub kalbsteki z ziemniaczkami i garniturem z jarzyn.Knedelki z parzonego ciasta z wiśniami. Kolacja:Pierożki z jagodami i śmietaną.

HOCKI-KLOCKI

NIEOCZEKIWANY SKUTEK



Pan Bul rozpędza dokuczliwe muchy i co z tego... wypadło.. „Ric et Rac"

SIŁA PRZYZWYCZAJENIE.



Lekarz do marynarza: — Hm! gorączka trzyma się między 39 a 39.5 stopni!

Marynarz: — Dobrze, dobrze, ale szerokości czy długości? „Ric et Rac"

Rozwiązanie z N-ru 25-go.

ZDANIA.

Zdanie 1-sze jest prawdziwe: kolejno stolicą Stanów były: Nowy Jork, Filadelfja, a obecnie Waszyngton.

Zdanie 2-gie jest fałszywe. Pierwsza bitwa Wojny Światowej miała miejsce pod Liège (Belgja) nie pod Yferes.

Zdanie 3-cie również jest fałszywe, bowiem Grenlandja należy do Danji.

Zdanie 4-te jest też fałszywe. Powierzchnia Szwecji jest większa od pwierzchni Polski. Szwecja ma koło 450 tysięcy km², Polska około 390 tysięcy km².

LEKKOMYŚLNE ZAKUPY.

35 zł.

HERBATA I BISZKOPTY.

Zapłacili 1 zł i 20 gr.

ZEGAR.

156 razy.

OSZCZĘDNOŚĆ.

327,67 zł.

WSKAZÓWKI.

O $23^{1}/_{13}$ minut po trzeciej.

ORZECHY.

Kolejno znajdują się w pięciu torebkach: 27, 25, 18, 16 i 14 orzechów.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TABELA LIGOWA.

Kibic Wisły: Mamy równą ilość punktów z Cracovią, a lepszy stosunek bramek, więc jeśli zremisujemy z wami zdobędziemy mistrzostwo Polski!

Kibic Cracovii: Masz rację, ale tylko wtedy, gdy będzie 0:0 lub 1:1, już 2:2 daje nam tytuł mistrza!

Jaki stosunek bramek miały oba kluby przed decydującem spotkaniem?

ROZKOSZE LETNISKA.



— Nie ma pani pojęcia ile przyjemności daje pobyt na letnisku: nie potrzeba sprzątać mieszkania, a pewien wieśniak pożycza nam raz na tydzień krowy, która oczyszcza nam dywan w pokoju jadalnym. „Ric-et-Rac".

ZROZUMIAŁA



— Moja narzeczona nie chce wyjść za mnie zamąż, póki nie będę miał „stałego" stanowiska! „Ric et Rac"

Dokończenie z str. 8.

niezbyt wesoło, można się domyśleć, zwłaszcza, gdy w „artystycznem natchnieniu" chwytałam za pendzel i smarowałam po ojcowskich szkicach.

Gdy miałam kilkanaście lat przygotowałam parę projektów kostjumowych. Ojciec mój, który był wówczas dekoratorem „Qui Pro Quo", pokazał moje prace dyrektorowi Boczkowskiemu.

— A wie pan, że wcale dobre — zaopinjował dyr. Boczkowski — zatrzymam je i wykorzystam. I tak odbył się mój debjut sceniczny.

Potem pracowałam, już angażowana stale w kilku teatrach rewjowych. W międzyczasie bawiłam dwukrotnie na studjach w Paryżu z Mistinguete, która proponowała mi wystawy-rewje stanowią też pewnego rodzaju źródło natchnienia i nowych pomysłów. Miałam nawet sposobność zetknąć się w Paryżu z Mistinguette, która proponowała mi współpracę w swoim teatrze. Niestety, stosunki rodzinne nie pozwalały mi na stały wyjazd z kraju.

Zresztą i tu znajduję dość pola do zademostrowania kostjumerskich moich pomysłów i fantazyj. Wszystkie np. kostjumy naszej olimpijki tańca, Olgi Sławskiej są projektowane przeze mnie, jak również Lody Halamy i Baletu Parnella. Pociąga mnie też bardzo praca w filmie. Brałam już nawet udział w kilku filmach jako kostjumerka. Toalety mojej kompozycji nosiły artystki w „Dyplomatycznej żonie", „Trędowatej", „Ordynacie Michorowskim", „Papa się żeni", „Pani minister tańczy" i in.

Nie robię nigdy projektu kostjumu, nie znając osoby, dla której jest przeznaczony. Kostjumerka musi przestudjować typ modelu wszechstronnie i ze strony malarskiej i rzeźbiarskiej i psychicznej. Musi znać sztukę, w której gra artystka, taniec i muzykę, gdy idzie o tancerkę. Co do mnie, to najchętniej pracuję dla rewij; tu bowiem znajduję najwięcej pola do popisu. Niestety! rewje, w których główną rolę gra bogactwo kostjumów i przepych wystawy, skończyły się u nas. Więc dlatego nie ręczę — kończy panna Gena — czy mimo wszystko nie wyfrunę zagranicę, gdzie istnieją większe możliwości pracy i wybicia się dla nas, malarzy teatralnych. **Z. Ord.**

Dokończenie z str. 29-tej.

mie pęków i girland. Długie rękawiczki, noszone do strojnych sukien lub haftowanej ażurowo, lecz również z jedwabnej siatki i z tiulu. Wieczorowe torebki przybierają coraz fantastyczniejsze kształty, a materjałem używanym najczęściej jest jedwab, paljety i brokat.

Ostatni obrazek ukazuje nam wszystkie walory eleganckiego stroju plażowego. Na krótkiej, połączonej z „hortami" sukni plażowej z lnianego płótna, nosi się długi i obszerny płaszcz w kratę biało-czarno-zieloną, ściągnięty pod szyją białym jedwabnym sznurem. Akcesorja mody plażowej świadczą o niewyczerpanej pomysłowości jej twórców: ogromne kapelusze z egzotycznych słomek, praktyczne torebki z płótna lub barwnych kretonów, szaliki drukowane w desenie o morskich motywach (koniki morskie, gwiazdy, muszle, kotwice), pantofelki i sandałki z płótna, rafji, słomy lub sznurka, wszystko to pozwala urozmaicać i odmieniać w nieskończoność klasyczny strój plażowy, złożony z kostjumu kąpielowego lub shortów i płaszcza. **Lady Like.**

To warto poznać..

NA SCENIE.

W Warszawie Teatr Narodowy wystawił sztukę Jerzego Zawieyskiego pt. **Powrót Przełęckiego.** Autor nawiązał świadomie do dzieła Żeromskiego pt. „Uciekła mi przepióreczka" (również granej w swoim czasie na scenie Narodowego), próbując stworzyć „ciąg dalszy" tamtego utworu. — Po dziesięciu latach Przełęcki wraca do Porębian, zastaje tu Dorotę Smugoniową i Smugonia; nową postacią jest Gabryś, „chłop z pochodzenia, pełen entuzjazmu i gotowości do walki", jak się wyraża jeden z krytyków. Gabryś założył we wsi uniwersytet ludowy, rezygnując z odbudowy kursów porębiańskich (stworzonych przez Przełęckiego). Instytucja Przełęckiego chyli się do upadku, ale uczucie Doroty nie wygasło. Czy Przełęcki zostanie tutaj, aby budować swe dzieło! — Nie, albowiem nie może iść tylko za instynktem, musi pozostać wierny własnemu „planowi moralnemu". „Przełęcki widzi, że wszystko poszło odmienną koleją, niż tego pragnął: — pisze w swem sprawozdaniu K. Wierzyński — zamek jest w ruinie, kursy w upadku, jego ofiara z własnego szczęścia — daremna. Nie udało mu się nic a jednak odchodzi jak triumfator. „Coś w tem jest" — mówi Smugoń. My wiemy dobrze co. Jest to moc wytrwania przy własnej prawdzie, nawet wbrew własnemu szczęściu; znany kodeks moralny Żeromskiego."

Osterwa reżyserował utwór Zawieyskiego, ponadto wystąpił w roli tytułowej. Osoba tego artysty, który odtwarzał Przełęckiego w sztuce Żeromskiego — jeszcze silniej związała to widowisko z duchem autora „Popiołów". Zawieyski wyposażył Przełęckiego w rysy interesujące; Osterwa wycieniował je pieczołowicie. Mniej wdzięczną rolę (z winy autora) miała **Modzelewska:** przez cały czas widzimy ją melancholijną, skwaszoną. Milczący i powściągliwy w słowach Smugoń u Zawieyskiego stał się nagle wymowny; zagrał go Dominiak. Na wyróżnienie zasługuje Hrydziński jako Gabryś.

•

W częstochowskim Teatrze Kameralnym wystawiono sztukę Kiedrzyńskiego p. t. **„Serce na wolności"**. Jest to utwór pełen aluzyj do głośnego procesu o nadużycia. Żona dygnitarza prowadzi za plecami męża ciemne interesy. Główną rolę żeńską wykonała warszawska aktorka J. Zielińska; jej partnerem — poważnym a nieszczęśliwym prezesem był K. Vorbrodt. Pozatem grali: H. Wańska, Lenczowski, Karasińska. Dekoracje Krassowskiego.

J. J.

NOWE KSIĄŻKI.

Ukazała się książka p. **Tadeusza Wierońskiego** pt.: **„Testament ideowo wychowawczy Józefa Piłsudskiego"**. Opierając się na pismach Marszałka, p. Wieroński stara się scharakteryzować Jego poglądy na zagadnienia wychowania. Najpierw charakteryzuje „główne rysy osobowości Marszałka", następnie podkreśla potrzebę dążenia do „rodzimego i rdzennego typu kulturalnego Polaka" — Są to raczej wypisy, niż praca syntetyczna, ale może właśnie dlatego interesująca, że p. Wieroński daje dużo cytatów.

Drugi tom nieskończonej jeszcze trylogji francuskiego pisarza Henri de Montherlant (tom I: **„Dziewczęta"**, tom II: **„Litujmy się nad kobietami!"**) zawiera historję miłości Costala i Solange. W tomie pierwszym (pisanym w formie listów do autora) na plan pierwszy wysuwała się postać panny z prowincji francuskiej, Andrei — teraz punkt ciężkości przesuwa się na Solange. Powieściopisarz Costal jest sobowtórem samego autora. Z powodu „Dziewcząt" Montherlant miał mnóstwo nieprzyjemności, zarzucano mu, że wyzyskuje listy prywatne w swej powieści. Montherlant zaprzeczył. Ale z tonu i sposobu, w jakim się odzywa ów Costal, wyczuwamy nieraz solidarność autora z tą postacią... Chociaż w budowie utworu widzimy brak „łacińskiej" harmonji i innych podręcznikowych przepisów — całość pulsuje życiem, podbija wyobraźnię. Mimo, że nie brak tu „koguciej dumy", jak się wyraził jeden z naszych młodych poetów — „Dziewczęta" i „Litujmy się nad kobietami" należą do książek, obok których nie można przejść obojętnie; zawierają interesujące błyski myśli i spostrzeżenia, świadczące o klasie pisarskiej Montherlanta. Antypatyczne rysy Costala, jego egoizm i bezwzględność w stosunku do kobiet mają charakter tak demonstracyjny, jakby autor chciał oczernić się dobrowolnie. Na usprawiedliwienie postawy Costala można dodać, że w każdym razie nie stara się on uchodzić za lepszego, niż jest.

•

Z pośród książek, przeznaczonych do lektury „wagonowej", albo do poduszki, trzeba wymienić przekłady dwóch autorów: G. O. Baxtera **„Daleka droga"** i K. Holland „Dziewczę z powietrza".

Baxter maluje, swoim zwyczajem, nowy rodzaj „postrachu prowincji", który zostaje ujarzmiony przez kobietę. Miłość wieńczy dzieło. A czytelnik otrzymuje porcję emocji, pełnego napięcia oczekiwania na wynik gonitwy, czy pościgu. — „Dziewczę z przestworza", jak tytuł wskazuje, przynosi historję lotniczki, która zakochuje się w lotniku. Autor umie poruszać się w środowisku sportowem. W jednej z powieści, poprzednio przełożonych na język polski, pokazał teren wyścigów samochodowych w Ameryce. Teraz przerzucił się na lotnictwo.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 27 czerwca.

9.00 Transmisja nabożeństwa z Katowic. — Po nabożeństwie przemówienie wojewody śląskiego dr. Michała Grażyńskiego.
12.03 W krainie bajek i legend — poranek w wyk. Ork. P. R.
13,10 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. T. Seredyńskiego.
14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 Piosenki ludowe w wyk. Chóru Alojzego Zaremby.
16.25 Mischa Elman gra — (płyty).
17.00 Wesołe słuchowisko p. t. „Ministerstwo humoru".
18.00 Koncert rozrywkowy w wyk. zesp. St. Rachonia.
20.00 Piosenki i melodje rumuńskie (płyty).
21.00 Wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 Koncert żeńskiego zespołu kameralno-wokalnego.

Poniedziałek, 28 czerwca.

12,03 Transmisja fragmentu XVII Zjazdu Katol. w Poznaniu.
12.50 Praca dziecka w lecie — pogadanka dla gospodyń.
16.00 Antoś chce być technikiem: — Ujarzmiamy żywioł wodny.
16 15 Pieśni ludowe w wyk. chóru szkoły powszechnej nr. 53 w Łodzi.
16.45 Książę Panie Kochanku — felj.
17.00 Koncert Orkiestry Filharmonji Warszawskiej (z Ciechocinka).
17,50 Co się dzieje w naszym ogródku — pogadanka.
18.15 Piosenki w wyk. Marjana Demara i Wiery Gran (płyty).
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Audycja Organizacji Młodzieży Pracującej (O. M. P.).
20.05 Koncert Ork. Wojskowej.
21.00 Capstrzyk Marynarki Wojennej z Gdyni.
21.01 Przemówienie Przedstawicieli Marynarki Wojennej, Ligi Morskiej i Kolonjalnej m. Gdyni.
21.15 „W gospodzie „pod Zielonym Węgorzem" — aud. słow.-muz.
22.00 Recital śpiewaczy Dunki Ślezkowskiej (ze Lwowa).
22,20 „W 10-tą rocznicę sprowadzenia prochów Juljusza Słowackiego do Grobów Królewskich na Wawelu.
22.35 Muzyka (płyty).

Wtorek, 29 czerwca.

9,00 Trancmisja z portu w Gdyni.
9.50 Transmisja z Poznania.
12.03 Przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. I. Mościckiego z okazji Święta Morza.
12.15 „Morze" — poranek muzyczny w wyk. Ork. P. R.
13.15 Transmisja fragmentów uroczystości Tygodnia Morza. — Przemówienie gen. broni Kaz. Sosnkowskiego.
14.00 Koncert rozrywkowy (płyty).
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 Transmisja z Poznania fragm. międzynarodowej demonstracji przed pomnikiem Serca Jezusowego.
16.15 Koncert Ork. Tadeusza Seredyńskiego.
16.45 „Łęczyckim szlakiem" — felj.
17.00 Dookoła miłości — w wyk. Krak. Kwartetu Schrammla.
18.00 Podwieczorek przy mikrofonie (płyty).
19.00 „Pogotowie brydżowe" — skecz
19.15 Utwory skrzypcowe w wyk. Józefa Kamińiskiego.
20.00 „Hej ty Wisło" — suita ludowa M. Rudnickiego (Transmisja z Teatru na wyspie w Łazienkach).
20.30 Audycja konkursowa.
21.00 Capstrzyk Marynarki Wojennej z Gdyni.
21.01 Gdynia w dniu Tygodnia Morza
21.10 Humoreski i Fraszki.
21.45 „Opowieść o bursztynie" — fragment z noweli.
22.00 „Nad brzegiem Bałtyku" — koncert.

Środa, 30 czerwca.

12.25 Koncert popularny w wyk. Orkiestry Ułanów Jazłowieckich.
16.00 „Z naszego warsztatu" — szkic literacki.
16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Tria Salonowego Rozgł. Kat.
16.45 „Łodzie podwodne wczoraj a dziś" — odczyt.
17.00 Koncert solistów.
18,15 Gwiazdy „Casino de Paris" śpiewają (płyty).
19.00 Słynni dyrygenci - Pierro Monteux (płyty).
20.15 Muzyka salonowa.
21.00 Koncert chopinowski (Transm. do Ameryki i Niemiec).
21.40 „Kaprowie Zygmunta Augusta" fragm. noweli.
21.55 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Ork. Wileńskiej.

Czwartek, 1 lipca.

12.25 Orkiestra rozrywkowa.
16,00 Bajki Kiplinga — recytuje dla dzieci M. Maszyński.
16.15 Chór Pracowników Kolejowych „Syrena" we Lwowie.
17.00 Transmisja odpustu z Budsławia
18.15 Koncert popularny.
19,00 Słuchowisko oryginalne p. t. „Dzieło jedności i zgody".
20.00 Koncert muzyki lekkiej.
21.05 Muzyka taneczna.
21.45 „Ostatnie zwycięstwo" — fragment z powieści.
22,00 Koncert solistów.

Piątek, 2 lipca.

12.25 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego.
16.15 Koncert solistów.
16.45 Reportaż z Wystawy Paryskiej
17,00 Koncert orkiestry Filharmonji Warszawskej.
18.10 Orkiestra Marka Webera i soliści (płyty).
19.00 Koncert kameralny (z Poznania)
20.00 Niebieski płaszcz — audycja muzyczno-literacka.
21.00 Muzyka taneczna.
21.45 Obrazki rybackie — fragm. z powieści.
22.00 Koncert wieczorny Orkiestry P. R.

Sobota, 3 lipca.

12,25 Koncert popularny w wyk. Ork. Reprezentacyjnej KPW.
16.00 Wesoła audycja dla młodzieży p. t. „Koszyk śmiechu".
16,30 Koncert solistów.
17.00 Orkiestra A. Hermana (z Krakowa).
17.50 Jeżów i dolina Mrogi — pogadanka.
18.15 Imperio Argentina i tanga argentyńskie (płyty).
19.00 Muzyka lekka w wyk. Ork. Wileńskiej.
20.00 Audycja dla Polaków z zagranicy p. t. „Ostra Brama".
21.05 Chór revellersów P. P. W.
21.50 Wiązanka melodyj Benatzky-go.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.